ECHA LEŚNE



CZASOPISMO ILUSTROWANE

№ 6 Czerwiec 1931 r. ROK VIII

Cena 1 zł. 40 gr.

ECHA LEŚNE

CZASOPISMO ILUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA W WARSZAWIE, NOWY ŚWIAT 36—4. TELEFON 230-75

Rok VIII Warszawa, Czerwiec 1931 r. Nr. 6



Pomnik Kopernika dłuta Cyprjana Godebskiego na dziedzińcu dawnego Uniwersytetu Jagiellońskiego Fot. Photo-Plat

WITAJĄC III-CI ZJAZD BOTANIKÓW SŁOWIAŃSKICH W STOLICY POLSKI, „ECHA LEŚNE" ŻYCZĄ MU JAKNAJOWOCNIEJSZYCH OBRAD I WYNIKÓW W DZIELE POMNOŻENIA WSPÓLNEGO PLONU NAUKOWEGO ORAZ WZAJEMNEGO ZBLIŻENIA NARODÓW SŁOWIAŃSKICH.

JAKO JEDNO Z PISM LEŚNYCH, STALE PROPAGUJĄCYCH IDEE I CELE PRZYRODNICZE, „ECHA LEŚNE" SKŁADAJĄ NINIEJSZY ZESZYT W RĘCE DROGICH GOŚCI - SŁOWIAN — KU UTRWALENIU WZAJEMNEJ WIĘZI I NA PAMIĄTKĘ POBYTU ICH W BRATNIEJ POLSCE.

REDAKCJA

O HODOWLI DAGLEZJI

(Dalszy ciąg)

Dobre, odpowiednie dla naszych warunków siewki i sadzonki powinny mieć w połowie września prosty, zdrewniały pęd wierzchołkowy z ciemnem twardem igliwiem i wyraźny pąk szczytowy. Te napewno bez żadnej ochrony przetrwają zimę.

Niedorośnięte, niedojrzałe, niezdrewniałe, wodniste, zbyt wybujałe, pokrzywione pędy środkowe, o anemicznym wyglądzie i blado-zielono-seledynowych miękkich igiełkach w jesieni, cechują siewki bądź wyrośnięte w wyżej opisanych niesprzyjających warunkach, bądź pochodzące z nasion nieodpowiedniej dla danej miejscowości rasy klimatycznej, i te należy przez zimę specjalnie ochraniać, gdyż w przeciwnym razie mocno cierpią od mrozów. Ochrona takich siewek powinna polegać głównie na stworzeniu ocienienia górnego przez okres zimowy, przy pomocy zasłon, t. zw. baldachów z chróstu nad siewkami i sadzonkami od listopada do połowy kwietnia.

Najniebezpieczniejszy dla daglezji okres przymrozków wiosennych przypada u nas na czas od początku marca do połowy kwietnia.

Ponieważ do upraw używamy starszych 2 lub 3-letnich sadzonek daglezji, musimy siewki szkółkować, i to 15 $\times$ 15 cm., jeśli chcemy je pozostawić po przesadzeniu przez rok i użyć jako 2-latki, 20 $\times$ 20 cm., jeśli są przeznaczone na 3-latki.

UPRAWA DAGLEZJI

Jak wspomniałem, uprzednio („Echa Leśne" nr. 5) nie wolno daglezji odnawiać siewem, a to z powodu wysokiej ceny nasienia, niebezpieczeństwa przymrozków i traw. Trzeba sadzić, i to wyłącznie dobo-rowemi sadzonkami 2 i 3 letniemi. Nie należy sadzić daglezji na większych otwartych zrębach, bo wielokrotne przykre doświadczenia wykazały, że daglezja bez bocznej osłony, narażona na mroźne wiatry i zbytnią operację słoneczną, ginie masowo. Najodpowiedniejsze są małe, dobrze ze wszystkich stron osłonięte zręby czyste, o powierzchni od 10 do 30 arów, na glebach lepszych, a więc I i II bonitacji dla sosny, II i III bonitacji dla buka i dębu.

O ile daglezja dobrze znosi ocienienie boczne, ginie lub w najlepszym razie beznadziejnie wegetuje, przy jakiemkolwiek ocienieniu górnem, dlatego nie należy jej wprowadzać czy to jako domieszkę pojedyńczą, czy jako uzupełnienie pod okap innych, już wyrośniętych, drzewostanów. Do podsadzań nawet pod sosną i dębem, a tem mniej pod bardziej ocieniającemi gatunkami nie nadaje się zupełnie.

Z naszych drzew rodzimych żadne nie nadaje się jako trwała jednostkowa domieszka równowiekowa do upraw z daglezją, czego dowiodły liczne, zupełnie chybione próby mieszanek w rzędach naprzemian i w piątkę z sosną, ze świerkiem i z dębem. Świerk może mieć zastosowanie, jako przejściowa domieszka do daglezji na lepszych glebach (w piątkę lub trójkę), pod warunkiem jednak, że będzie wycięty najpóźniej w 10 — 12 roku. W ojczyźnie daglezji dobrze rośnie z nią i ma podobne wymagania, jedynie trochę większe co do wilgotności gleby, Thuya gigantea — żywotnik olbrzymi. U nas w kraju prób w tym kierunku dotychczas niema.

Bardzo dobrze nadaje się daglezja do wypełniania większych luk w odnowieniach naturalnych bukowych i w innych starszych uprawach, lecz zawsze tylko na lepszych siedliskach i zawsze w większych czystych grupach, pojedyńczo zaś tylko przy osłoniętych drogach i liniach, lub jako t. zw. solitery na skrzyżowaniach dróg dla celów dekoracyjnych w parkach i ogrodach wiejskich i małomiejskich, zdala od trujących wyziewów fabryk.

Reasumując, podkreślam, że daglezja ginie pod ocienieniem górnem, ginie jako domieszka pojedyńcza w równowiekowych drzewostanach z sosną i ze świerkiem, doskonale natomiast zachowuje się w większych czystych grupach.

Jak i kiedy należy sadzić daglezję? Do tworzenia grup na czystej niezadarnionej glebie można używać sadzonek 2-letnich, które w tym wieku są już 20 — 30 cm wysokie, sadząc je tanim sposobem i małym kosztem w szparę na talerzach, przygotowanych i spulchnionych jesienią. Na zaniedbanych zrębach, gdzie daglezja musi konkurować z trawami, trzeba użyć dobrze wyrośniętych, około 50-centymetrowych 3-latek, sadząc je w dołki przygotowane w jesieni. Najodpowiedniejszą dla daglezji jest więźba 1,20 — 1,80 m w kwadrat, w piątkę lub trójkę, czyli dosyć luźna więźba regularna, podobnie jak dla świerka.

Z sadzeniem daglezji na wiosnę nie należy się zbytnio spieszyć. O ile modrzew i niektóre liściaste (brzoza, jarząb) wymagają jaknajwcześniejszego wydołowania i przesadzenia w grunt, a sosna i świerk stoją pod tym względem pośrodku, sadzenie daglezji, żywotników i cyprysików należy odłożyć na sam koniec, najlepiej bezpośrednio przed rozpoczęciem pędzenia, zwykle w drugiej połowie kwietnia. Dotyczy to również czasu przesadzania daglezji w szkółkach. Uchwycenie odpowiedniego momentu do sadzenia decyduje stanowczo o udaniu się uprawy. Daglezja wysadzana wcześniej tran-



Pseudotsuga Douglassi w dwunastoleciu wegetacji w Nadleśnictwie Wirty

spiruje w dni słoneczne zbyt wcześnie i intensywnie, traci prężność (turgor) i o ile po słonecznych dniach następują mroźne noce, marznie nieraz doszczętnie, ponieważ korzenie, niezrośnięte jeszcze ze zbyt chłodną, a często zmarzniętą w marcu i początku kwietnia glebą, nie są w stanie doprowadzić sadzonce wyparowanej przez dzień wilgoci. To też zasadniczo daglezję i żywotniki powinno się sadzić dopiero po przejściu okresu silniejszych przymrozków wiosennych, najlepiej w dnie pochmurne i dżdżyste.

Kwestja naturalnego odnowienia daglezji, w Ameryce aktualna, u nas jeszcze przez długi czas będzie musiała być zagadnieniem dla badań niedostępnem. Zaznaczam, że i w tym kierunku daglezja wykazuje w Wirtach ogromną żywotność. Po latach nasiennych ukazuje się i rozwija zdrowo przy lepiej oświetlonych ścianach starszych grup daglezji gęsty nalot młodzieży z samosiewu, z którego nieraz z dobrym skutkiem brałem sadzonki z bryłką do upraw.

PIELĘGNOWANIE DAGLEZJI

Jako pielęgnowanie rozumieć należy wszelkie czynności, zmierzające do wyhodowania drzewostanu jaknajlepszego pod względem jakości i zamożności, oraz do jego ochrony przed grożącemi mu w ciągu życia niebezpieczeństwami. Do prac z tego zakresu należą: 1) Uzupełnienia czyli poprawki; 2) Ochrona upraw, młodników i starszych drzewostanów; 3) Czyszczenia i trzebieże.

1. P o p r a w k i w uprawach daglezji są czynnością niezbędną, z którą zawsze liczyć się trzeba, gdyż nadzwyczaj rzadko udaje się trafić na tak sprzyjające okoliczności, żeby w uprawie nie było żadnych strat. Z historji znanych mi starszych i młodszych, dzisiaj jednolitych i zwartych drzewostanów daglezji wiadomo mi, że straty początkowe w nich wynosiły od 30 do 80%. Największe straty bywają w pierwszym i drugim roku po wysadzeniu w grunt od przymrozków wiosennych, suszy i przymrozków jesiennych. Następnie w wieku 4 — 8 lat cierpi daglezja od zwierzyny — sarn, jeleni i danieli, które niemiłosiernie obgryzają korę i wycierają o nią parostki.

Do poprawek trzeba mieć dobrze wyrośnięte 3-letnie szkółkowane sadzonki i poprawiać zawsze niezwłocznie. W braku daglezji pojedyńcze straty i drobniejsze luki można uzupełniać świerkiem, większe w środku żywotnikiem olbrzymim, przy brzegach, linjach i drogach modrzewiem europejskim lub japońskim, zawsze odpowiednio wyrośniętemi sadzonkami.

2. O c h r o n a d a g l e z j i nie nastręcza hodowcy większych trudności.

P i e l e n i a uprawy daglezji nie wymagają prawie nigdy, gdyż uzupełnione i dostatecznie zadrzewione grupy tak szybko podnoszą się w górę i opanowują otoczenie, że z większych nawet traw wyrastają zupełnie po 2 — 3 latach, a także dosyć łatwo dają sobie radę z konkurencją drobniejszych drzew i krzewów.

S z k o d l i w y c h g r z y b ó w pasorzytniczych na daglezji dotychczas u nas prawie nie zauważono. Minimalne szkody robi opieńka, przeciw hubie korzeniowej [1]) (patrz A. Deugler — Waldbau str. 343) jest daglezja wybitnie odporna.

Na igłach i korze nie zauważyłem dotychczas żadnych grzybków. Dr. F. W. Neger w dziele swem: „Die Krankheiten nuserer Waldbäume" — Stuttgart, 1919, na str. 273 wylicza cały szereg pasorzytów po-

---

[1]) Dr. Alfred Deugler: „Waldbau auf ökologischer Grundlage" — Berlin, 1930.

jawiających się na daglezji: na kiełkach — Fusoma i Phytophtora omivora; na młodych pędach — Botrytis cinerea; na gałązkach młodych roślin — Phoma pithya; na końcach pędów roślin — Sphaeropsis Ellisii; gnil strzały — Trametes pini; gnil pnia i korzeni — Trametes radiciperda; gnil ponad pniem — Myzosporium abietinum.

Czy w przyszłości nie czekają nas jeszcze niespodzianki fitopatologiczne u daglezji jak to miało kiedyś miejsce przy hodowli sosny Wejmuta, którą dzisiaj w znacznej mierze dyskwalifikuje dla wprowadzania na szerszą skalę Peridermium Strobi, nie wiadomo.

W roku ubiegłym Francja i Niemcy zabroniły wwożenia sadzonek daglezji z powodu obawy zawleczenia nowoodkrytego grzyba pasorzytniczego wywołującego osutkę na igłach daglezji „Rhabdochina Pseudotsugae", o którym szerzej pisał prof. J. Kloska w kwietniowym numerze Lasu Polskiego[2]). Żadnych uszkodzeń przez owady, pomijając drobne szkody w szkółkach, spowodowane przez pędraka i turkucia podjadka, daglezja w Europie dotychczas nie przechodziła.

Zwierzyna, zwłaszcza sarny, jelenie i daniele lubią daglezję, jak każdą nowość, i znaczne w niej nieraz szkody wyrządzają przez wycieranie parostków i obgryzanie kory, lecz i tutaj nawet boleśniejsze i znaczniejsze obdarcia kory zabliźniają się z czasem zupełnie. Przy silnym zwierzostanie należy uprawy grodzić. Okiść i sadź znosi daglezja bez żadnych strat.

Na wiatry są wrażliwe zbyt gęsto wyhodowane drzewostany, to też zaleca się jako środek zapobiegawczy luźną więźbę i silne, wczesne trzebieże. Mrozy, i to nie mrozy zimowe, lecz przymrozki jesienne i wiosenne, są największem niebezpieczeństwem daglezji zarówno u nas, jak i w Ameryce, głównie w pierwszej młodości, do lat dziesięciu. Najwięcej cierpią drzewka najmłodsze, kilkoletnie, głównie dokąd nie wyjdą z t. zw. sfery przymrozków, działających — jak wiadomo — najbardziej przy samej ziemi do wysokości około 1 m.

Hodowla daglezji z nasion odpowiedniej rasy klimatycznej, zakładanie szkółek w odpowiednich warunkach i w miejscach osłoniętych, ochrona przez zimę niezdrewniałych sadzonek, wprowadzanie do upraw niewielkiemi grupami, przy ochronie bocznej od wschodu i południa, to najlepsze środki ochronne przeciw przymrozkom młodej daglezji do lat 10-ciu.

Mrozy zimowe krytycznej zimy 1928/29, dochodzące do 35°, które nadszarpnęły poważnie stan i do pewnego stopnia zagroziły bytowi naszej jodły zwyczajnej w górach Świętokrzyskich i na Podkarpaciu, w drzewostanach daglezji nie wyrządziły poważniejszych szkód.

Szkółki były pod śniegiem i przezimowały zupełnie dobrze.

Młodniki do lat 15 były zmrożone doszczętnie, ale tylko powierzchownie i obsypały prawie wszystko igliwie, zwłaszcza z górnych części korony, lecz w ciągu lata 1929, a następnie w r. 1930 z pąków bocznych i szczytowych odnowiły się zupełnie i dzisiaj niema śladów po mrozach.

Drągowizny młodsze i starsze sypały obficie, lecz w ciągu ubiegłych dwóch lat wygoiły drobne zmrożenia i uzupełniły stan ulistnienia, a nawet lekko owocowały w jesieni 1930 r. Jedynem następstwem było wzmożone wydzielanie sztuk najsłabszych w starszych drzewostanach.

Gruba, obfita w korek warstwa kory ochroniła znakomicie pędy i strzały daglezji przed przemarznięciem. Nigdzie nie zauważono pękania kory od mrozów.

3. Czyszczenia i trzebieże. Wspomniałem powyżej, że daglezja bardzo łatwo opanowuje trawy. Już w pierwszych dziesięciu latach przyrasta na wysokość tak szybko, 30 do 50 cm rocznie, że nie obawia się konkurencji krzewów i innych drzew, nawet szybko rosnących. Trudniejsze do opanowania, jeśli są w nadmiarze, bywają leszczyna, grab odroślony, przy brzegach i w lukach iwa i nalot brzozy. Na te trzeba zwracać uwagę i trzymać je w karbach w najpierwszej młodości w uprawach daglezji.

Daglezja rośnie od samego początku we wszystkich kierunkach bardzo intensywnie, to też zwarcie i okrycie gleby następuje bardzo szybko, a poczynając od 10 roku przyrost na wysokość, rozrost drzewek i ich wzajemna konkurencja wzmagają się i bardzo wcześnie rozpoczyna się wydzielanie. Z tego głównie względu zaleca się dla daglezji więźbę nie gęstą, lecz raczej luźniejszą, niezbyt jednak luźną, gdyż wtedy trudno się drzewa oczyszczają.

Stosując na glebach najzamożniejszych I bonitacji sosny więźbę regularną z odstępami około 1,80 m, z ilością sadzonek na 1 ha około 3100 sztuk, na glebach dobrych II bonitacji odstępy 1,50 m i 4400 szt. sadzonek, a na glebach średnich, słabszych dla daglezji, odległości około 1,20 m i około 6900 szt. sadzonek, uczynimy — zdaje się — zadość jej potrzebom i naszym od daglezji wymaganiom. Reguł ani zasad ścisłych w tym względzie obecnie ustalić ani zalecić nie możemy. W tym kierunku winny pójść dalsze próby doświadczalne z daglezją.

(D. n.) *K. Maciejowski*

[2]) Jan Kloska: „Choroby i szkodniki daglezji". Las Polski — kwiecień — 1931.

ZALESIANIE NIEUŻYTKÓW W POWIECIE MAKOWSKIM

Powiat makowski zaliczyć należy do powiatów wybitnie rolniczych.

Co do składu geologicznego gleb, to dzielimy go na dwie części: 1) południowo-zachodnią, urodzajną — o glebie gliniastej i gliniasto-piaszczystej, żyznej; 2) północno-wschodnią, stanowiącą południową podstawę „Puszczy Kurpiowskiej" — piaszczystą, ubogą w związki mineralne i słabo urodzajną.

Charakter gleb wyraźnie odgranicza rzeka Orzyc (dopływ Narwi), z których $^{2}/_{3}$ powierzchni powiatu stanowią gleby ubogie — piaszczyste, $^{1}/_{3}$ gleby żyźniejsze - gliniaste i gliniasto-piaszczyste.

Według danych statystycznych, zebranych za pośrednictwem gmin, nieużytki zajmują obszar około 7.000 ha. Większość tych nieużytków — to liche pastwiska i laski drobnej własności, rosnące na gruntach ubogich, piaszczystych, suchych, posiadające cechy lasów wybitnie ochronnych. Bagna, a raczej kwaśne łąki i nieliczne torfowiska, zajmują stosunkowo nieznaczną przestrzeń. Da-

ne cyfrowe uwzględniają nietylko większe skupienia nieużytków, lecz i drobne obszary, często sięgające 0,25 ha.

Lasy drobnej własności, wobec wielkiego zniszczenia, należy uważać w 75% za lasy nieistniejące. Są to bowiem przeważnie drągowiny, pozbawione zwarcia, opanowane przez szkodniki świata owadziego, przeistarczające się w płazowiny i halizny, porośnięte karłowatą sosną i jałowcem. Przetrzymywanie tych drzewostanów na pniu nie rokuje żadnych nadziei gospodarczych na przyszłość, a przeciwnie, rozszerza się ognisko szkodników, oraz dziczeje i wyjaławia glebę. W miejscach obnażonych z drzewostanów lub mocno przerzedzonych zaczynają się uruchamiać piaski.

W trosce o dobro powiatu, Sejmik makowski dąży do zalesienia tych nieużytków i szybkiego ich zlikwidowania przez odnowienie cytowanych wyżej płazowin i halizn.

Akcja zalesiana na terenie powiatu datuje się dopiero, naprawdę, od 1926 r., t. j. od tego czasu, kiedy Ministerstwo Rolnictwa zaczęło udzielać zasiłki powiatowym związkom komunalnym. Utworzona komisja leśna, składająca się z miejscowych fachowców - leśników, służy, jako organ opinjodawczy i projektodawczy w tej dziedzinie. Szkółki, potrzebne do produkcji sadzonek, są zakładane na terenie lasów państwowych i prywatnych, hodowane są w nich siewki sosny pospolitej, sosny Banka, akacji białej, brzozy, oraz wiklina kaspijska na sztubry do zalesiania lotnych piasków. Aby nie podrażać produkcji sadzonek, dąży się do zakładania rozsadników stałych, zasilanych nawozami, uznanemi przez miejscową administrację leśną za odpowiednie, koszty bowiem nawozów są znikome w stosunku do corocznego karczowania pni i uprawy gleby pod nowe szkółki. Sejmik posiada kosztury do sadzenia, wypożyczane przez urzędy gminne zalesiającym.

Od czasu rozpoczęcia akcji do roku obecnego zalesiono około 350 ha, przyczem w ostatnich dwóch latach zalesiono najwięcej. Zalesienia były prowadzone indywidualnie przez uświadomionych rolników, ich własnym kosztem; pomoc ze strony Sejmiku była świadczona w postaci sprzedaży sadzonek poniżej kosztów produkcji, lub też bezpłatnie, oraz w postaci wskazówek fachowych. Niezależnie od tego wypłacano premje pieniężne (na wniosek członka komisji leśnej) w wysokości 20 — 50 zł., zależnie od wielkości zalesionego terenu, stanu zalesienia i t. p.

Od nowego roku budżetowego 1931/32 akcję zalesiania na terenie powiatu zorganizowano w sposób następujący: 1) będą zalesiane obszary ponad 25 ha o łącznej powierzchni 150 ha rocznie, kosztem Sejmiku; 2) przez uświadomionych i zamożniejszych rolników ich własnym kosztem zalesiane będzie około 75 ha, tak, że powierzchnia rocznych zalesień będzie wynosiła 225 ha.

Trudne są to zalesienia, ze względu na wylewy, łachy piaszczyste, położone nad rzeką Narwią. Tereny te, poza perjodycznym wylewem rzeki, posiadają dostateczną ilość wilgoci gruntowej, będą zatem użyte pod uprawę wierzby koszykarskiej. Duże plantacje wiklinowe, odpowiednio utrzymane, pozwolą na stworzenie przemysłu koszykarskiego, skoncentrowanego na terenie miasta Różana, leżącego na środku gmin Sieluń i Sielc, po granicy których przepływa Narew.

Sejmik, na wniosek komisji leśnej, wychodząc z założenia, że zalesianie nieużytków oraz utrzymanie lasów drobnej własności na pewnym poziomie gospodarczym winno spoczywać w rękach fachowca — podobnie, jak rolnictwo w powiatach, instruowane przez instruktorów rolnych, zaangażował z wiosną 1929 r. instruktora leśnego, zadaniem którego jest: uświadamianie ludności o potrzebie i korzyściach zalesiania nieużytków, pomoc i porady fachowe przy zalesianiu, zakładanie plantacyj wiklinowych, oraz dążność do doprowadzenia do należytego stanu gospodarczego lasów włościańskich, które z powodu zaniedbania nie odgrywają prawie żadnej roli.

Instruktor utrzymywany jest wspólnie z sąsiednim powiatem.

Wł. Dzwonek

WOBEC INWAZJI KORNIKÓW W LASACH Ś-TO KRZYSKICH

Geneza inwazji kornikowej [1]) w lasach prywatnych i państwowych datuje się z czasów wojny, to jest na szereg lat przed ostrą zimą 1928/29, która spowodowała przemarznięcie wielu pięknych drzewostanów jodłowych w lasach Ś-to Krzyskich i z tej przyczyny pogłębiła inwazję kornikową. Także bezpośrednią przyczyną inwazji była nietylko zima, a wiele jeszcze innych powodów, składających się na tę inwazję, o których jest mowa.

Jak konstatuje protokół na gruncie, badany przez prof. Mokrzeckiego z dn. 19 lipca 1930 r. najsilniej ucierpiały drzewostany podczas surowej zimy i mrozów, dochodzących do 42° C na gruntach podmokłych, zabagnionych w drzewostanach, mało zwartych, przerzedzonych i na obrzeżach.

Żerowanie zwójki jodłowej T o t r i x   m u r i n a n a, trwające od 1920 r. (z przerwami) znacznie osłabiło drzewostany jodłowe zwłaszcza w wieku młodszym, a nawet bliskorębnym. Huragan 4 lipca 1928 r. oprócz szkód, polegających na połamaniu drzew, osłabił i uszkodził znacznie system korzeniowy pozostałych drzewostanów, co spowodowało ich schnięcie. Drzewostany mieszane, różnowieczne, o pełnem zwarciu zostały nieuszkodzone lub też szkody te nie przekraczają granic praktycznego znaczenia.

Pomijając sposoby walki z tymi groźnymi owadami nad którymi pracują leśnicy i entomolodzy, chcę w pierwszym rzędzie wskazać na środki zapobiegawcze, mające zdaniem mojem na celu usunięcie na przyszłość wyżej wskazanych przyczyn występowania korników. Gospodarka okupacyjna i większe składy nieokorowanego materjału, leżącego latami, brak ze strony okupantów zainteresowania w przestrzeganiu higieny lasu i wykonywaniu porządnej i czystej eksploatacji, której wymaga jodła były oto głównymi rozsadnikami rozmnażania się korników.

Polscy leśnicy po zakończeniu okupacji, nie mając tego bogatego doświadczenia, które okazało się koniecznem w zwalczaniu inwazji kornikowej w drzewostanach jodłowych, stosowali środki zalecane przez literaturę leśną, które jednakże okazały się niedostateczne w tej

[1]) Ips curvidens Fuchs (krzywozębny), Voorncova i Spinidens—Reultt (kolcozębny) oraz zwójki jodłowej T o t r i x   m u r i n a n a.

walce. Spoglądając poza siebie na gospodarkę jodłową władz rosyjskich w lasach rządowych Ś-to Krzyskich do samej wojny, musimy stwierdzić, że gospodarka ta, wydaje się na tyle racjonalną, że nie dopuszczała do inwazyj szkodliwych w tych drzewostanach wobec czego niektóre metody tej gospodarki należałoby dalej kontynuować.

Metody tej gospodarki bardzo rzeczowo wyjaśnia artykuł rosyjskiego leśnika Schenberga. „O w o z o b n o w l e n i i p i c h t y „A b i e s P e c t i n a t a" w B a d z e n t y ń s k o m l e ś n i c z e s t w i e" (Lesnoj Żurnał za 1904 r.). Autor w swojem artykule analizuje problem odnowienia lasów w drzewostanach jodłowych w każdem poszczególnem typie zrębów t. j. czystych kulisowych, kotlinowych i częściowych i zapomocą próbnych powierzchni przychodzi do wniosku, że najlepszy obsiew jodłą dają zręby częściowe i kotlinowe, zwłaszcza częściowe, przeprowadzone w 4-ry fazy (zr. przygotowawczy, prześwietlający, obsiewny i uprzątający).

Taki zrąb co do odnowienia drzewostanów jodłowych daje najlepsze rezultaty. Zręby częściowe, przeprowadzone nagle z dużym % usuwania drzew na danej porębie dają rezultaty odnowienia gorsze, a nawet całkowicie zawodzą. Zrąb częściowy przeprowadzony umiarkowanie w 4-ry fazy ze względu na regulacje światła, jak twierdzi Schenberg, aczkolwiek daje nam rezultaty najlepszego odnowienia czystą jodłą nosi jednak w zarodku niebezpieczeństwo wyhodowania czystego drzewostanu jodłowego (str. 922 „Lesnoj Żurnał" za 1904 r.) i z tego powodu nie nadaje się na nasze warunki. Dlatego też według autora w gospodarce jodłowej konieczną jest rzeczą hodowla II typu drzewostanu mieszanego t. j. jodły z gatunkami światłożądnemi.

Zrąb częściowy niezawsze daje nam gwarancje odnowienia zadowalniającego, zależy to bowiem od siły i regulacji światła, struktury gleby, ilości wilgoci w glebie, wpływów atmosferycznych i t. p. Jak ustalił protokół prof. Mokrzeckiego, najwięcej ucierpiały od mrozów i huraganów drzewostany jodłowe przerzedzone, gdyż został uszkodzony system korzeniowy tychże drzewostanów, co spowodowało schnięcie, a w następstwie, stałe usuwanie drzew usychających. Odbiło to się również źle na odnowieniu, jak i na zwiększaniu się infekcji w drzewostanach jodłowych.

W zwartych drzewostanach jodłowych obecność pokrywy mchów i roślinności: H y p n u m P o l i t r y c h u m, O x a l i s a c e t o s e l l a (k w a ś n i c a), H e d e r a H a l i x (b l u s z c z) i t. p. świadczy o obecności kwaśnej próchnicy, działającej ujemnie na odnowienie jodły, gdzie młode jodełki żółkną i giną całkowicie nawet pod okapem macierzystego drzewostanu jodłowego. Tu Schenberg wyprowadza wniosek, że jodła jest gatunkiem, który znosi ocienienie, choć tego ocienienia nie lubi. Szablonowe stosowanie zrębów częściowych nietylko w danym wypadku nie przynosi korzyści dla odnowienia jodły, lecz takowe opóźnia, zabagniając teren po usunięciu drzew, który to teren przedewszystkiem należałoby zmeljorować za pomocą rowów odwadniających.

Całkiem natomiast inny efekt dają zręby częściowe w drzewostanach mieszanych (na siedliskach jodłowych) o typie jodła — dąb — buk, stosowane z wyrachowaniem dla otrzymania drzewostanu mieszanego.

Jodła jest gatunkiem, który lubi zmianę typu, zwłaszcza na odkrytej powierzchni. — „P i c h t a l u b i t s m i e n u p o r o d" — cytuje Schenberg. To samo zaznacza prof. Dziubałtowski w swojej pracy: E t u d e p h y t o s o c j o l o g i q u e d u m a s s i f d e S-t e C r o i x" na str. 31.

— „L e S a p i n q u i e s t o m b r o p h i l e e t q u i p e n d a n t t o u t e j e u n e s s e e x i g e u n e p r o t e c t i o n n e p e u t c o m p o s e r d e s f o r'ê t s s u r c e s é s p a n e o s l i b r e s". — Skoro jednak na powierzchni otwartej wystąpią drzewa światłożądne: dąb, sona, brzoza, sosna, a nawet buk, pod okapem tychże drzew występuje jodła, utrwalając swoje bytowanie zarówno od złych wpływów atmosferycznych, jak i od infekcji szkodliwych.

Ponieważ jak to zaznacza protokuł prof. Mokrzeckiego (punkt 4-ty) drzewostany jodłowe - mieszane nie doznały lub najmniej doznały inwazji kornikowej, należałoby zatem gospodarkę jodłową tak zabezpieczyć, aby nie dać jodle przewagi wyłącznego panowania na siedliskach jodłowych.

Zastosowanie zrębów kulisowych (nieszerokich) w drzewostanach jodłowych stwarza te optymalne warunki. Dają nam one w rezultacie piękne drzewostany mieszane (Schenberg „Lesnoj Żurnał" str. 915). Te wymogi pod względem infekcji pokryją się w zupełności z koniecznością hodowlaną dla jodły.

Drzewostany zwarte, jak to widzimy przy zrębach kulisowych, nie doznają wstrząsów od wpływów atmosferycznych, jedynie tylko na obrzeżach, na skraju, lecz co najważniejsza, ułatwiają szybką i czystą eksploatację w terenie zimowym, koncentrując takową na mniejszej przestrzeni. Nie powodują zatem infekcji, jak to ma miejsce przy wielkich powierzchniach zrębów częściowych, prowadzących się często w ciągu roku.

Reasumując wyżej powiedziane wygody i zwalczając kategorycznie zręby przerębowe jako szablon, uważać należy za wskazane poddanie rewizji poglądów leśników na hodowlę jodły i zmodyfikować cięcia przerębowe w ten sposób, aby nie stwarzać dla odnowienia warunków utrudniających to odnowienie. Sądzę, że tereny zabagnione nadają się zupełnie pod zręby kulisowe, które po ich odnowieniu umożliwią nam zarówno szybkie odnowienie mieszane, jak również zmniejszą nam trudności w eksploatacji.

Co do wyciętych gniazd kornikowych — to wycięte i zabagnione powierzchnie należałoby coprędzej zmeljorować i po tej procedurze wprowadzić gatunki drzew światłożądnych bądź sztucznie bądź naturalnie, pod okapem których wystąpi jodła, jako gatunek panujący.

Powyższe poczynania leśników uzupełni następnie sama przyroda zwłaszcza na kwaterowych podłożach urodzajnych gleb formacji dewonskiej gór Ś-to Krzyskich i pod wpływem regulacji światła współdziałać będzie przy utworzeniu typu drzewostanu mieszanego.

Inż. Wiktor Ulatowski

SPROSTOWANIE

W Nr. 5 „Ech Leśnych" z roku b. pod artykułem p. Barczyńskiego „Nieco o żywopłotach" (str. 5) mylnie zostało umieszczone nazwisko Inż. L. Ossowskiego. Autorem tego artykułu jest p. Józef-Robert Barczyński, co niniejszem prostujemy.

ECHA ŁOWIECKIE

ORGANIZACJA GOSPODARSTWA LEŚNO-ŁOWIECKIEGO

(C. d.)

Organizacja gospodarki leśno-łowieckiej winna mieć na celu:

1) prowadzenie gospodarstwa leśnego w połączeniu z łowiectwem;

2) zapewnienie wyboru czynnikom miarodajnym ludzi, odpowiadających pracy leśno-łowieckiej;

3) wyszkolenie personelu w gospodarstwie łowieckiem;

4) rozwój łowiectwa z punktu widzenia ekonomicznego, a więc wzmożenie bogactwa kraju i zapewnienie stałego dochodu z dziedziny łowieckiej.

Co się tyczy rentowności, to rzecz naturalna, że nie może ona się równać dochodom z lasów, lecz bagatelizowanie mniejszych nawet źródeł dochodu byłoby l e k c e w a ż e n i e m p r y n c y p a l n y c h z a s a d e k o n o m j i.

Jak wielce doniosłe znaczenie mogą mieć takie placówki dla Państwa, wynika z wyżej podanych czynników.

WYBÓR MIEJSCA

Mając na celu jednocześnie z leśnictwem prowadzenie gospodarstwa łowieckiego, a więc hodowlę zwierzyny grubej i drobnej, trzeba zastosować wybór miejsca do warunków terenowych, właściwych dla danego zwierzostanu.

Jest to niełatwe zadanie. O ile do hodowli zwierzyny grubej potrzebujemy znacznych kompleksów leśnych (z wyjątkiem sarn), o tyle dla hodowli drobnej zwierzyny, wręcz przeciwnie, potrzebne są małe kompleksy leśne, poprzeplatane zaroślami, polami, łąkami, a nawet wyłącznie pola, łąki, zarośla. Z tego wynika, że należałoby prowadzić hodowlę grubej i drobnej zwierzyny na dwóch oddzielnych terenach (placówkach). Jednak z uwagi na pewne nakłady, związane z organizacją takiej placówki i ewentualne zmiany personelu, można obrać jeden tylko teren. Ponieważ zapoczątkowanie hodowli zwierzyny drobnej jest łatwiejsze i mniej kosztowne, aniżeli grubej, to wybór miejsca winien być zastosowany do istniejących już terenów ze zwierzostanem grubym.

Ze względu na grubą zwierzynę obszar danej jednostki, np. przy jeleniach, nie może być małym, obejmować, przypuśćmy jedno nadleśnictwo. Trzeba przyjąć pod uwagę główne ostoje jeleni w różnych porach roku i stosownie do tego wyznaczyć obszar terenu hodowlanego.

Zgóry tego obszaru określić nie można, zależy on bowiem od wielu okoliczności: terenowych, hodowlanych i danego gatunku zwierzyny. W każdym razie przy hodowli jeleni powinien on być nie mniejszym około 10.000 ha. Na takiej powierzchni łatwiej będzie obrać także teren do hodowli i zwierzyny drobnej: zajęcy, bażantów, kuropatw i t. p. zwłaszcza, że hodowla tego rodzaju zwierzyny może być prowadzoną nie na wielką skalę.

ZASADY GOSPODARKI LEŚNO-ŁOWIECKIEJ

System gospodarki leśno-łowieckiej powinien być oparty na następujących zasadach:

1) Stwarzać jak najwięcej warunków, sprzyjających dla bytu zwierzyny. W tym też celu wprowadzać przy hodowli lasu, o ile możności drzewostany mieszane, lub z domieszką drzew liściastych, co jest zresztą dążeniem gospodarki leśnej.



Fot. S. Mucha

Puhacz w Pieninach

Przy uzupełnianiu halizn w zagajeniach nie zapominać o sadzeniu: dzikich grusz, jabłoni, jarzębiny, kasztanów, dębu, buku, nasiona których stanowią zdrowy i ulubiony pokarm zwierzyny. Należy wymienić też i niektóre gatunki krzewów użytecznych dla zwierzyny: dereń, dzika róża, jeżyna, malina, tarnina, bez jeleni i t. p.;

2) Z drugiej strony ilość zwierzyny powinna być dostosowana do ilości i jakości naturalnego pokarmu. A więc na danym terenie leśnym powinno się trzymać tyle zwierzyny, ile może sama przyroda jej wyżywić bez szkody dla lasu.

3) Pokarm sztuczny winien być uzupełnieniem do paszy naturalnej, a nie odwrotnie, jak to miało miejsce w Białowieży, Spale, w byłych cesarskich łowiskach. Tam hodowlę zwierzyny prowadzono jednostronnie — tylko pod względem ilościowym, zapominając o jakości zwierzostanu i o całości lasu.

DZIAŁY GOSPODARSTWA ŁOWIECKIEGO

Gospodarstwo łowieckie powinno obejmować następujące działy:

I. O c h r o n a. Jest to jeden z czynników, należących do hodowli, lecz ze względu na jej decydujące znaczenie, na cały szereg czynników z nią związanych, traktuję ochronę jako specjalny dział.

Do niej należą:

a) Sposoby zwalczania kłusownictwa i pouczenie w zachowaniu pewnej ostrożności dla samoobrony;

b) Spokój. Jest to bardzo ważny warunek utrzymania dobrego zwierzostanu. Z tej też przyczyny należy prowadzić czynności gospodarczo-leśne tak, ażeby bez szkody dla hodowli, pielęgnowania i użytkowania lasu jaknajmniej niepokoić zwierzynę robotami leśnemi. Spokój ten jest konieczny, zwłaszcza podczas rozmnoży zwierzyny, rui i rykowiska. To ostatnie wymaga szczególnej uwagi, ponieważ niepokojone w tym czasie jelenie zmieniają miejsce rykowiska, a nawet wynoszą się do sąsiednich — więcej spokojnych rewirów. Zatem niepokój wywołuje r y-

k o w i s k o c i c h e skutki zaś są znane hodowcom. Również należy unikać hałaśliwych naganek, które są bezcelowe, a nawet szkodliwe, powodują tylko niepokój, wypłaszają nieraz zwierzynę do sąsiednich terenów.

c) Tępienie drapieżników, zależnie od gatunku hodowanej zwierzyny.

II. H o d o w l a. Do hodowli zaliczam następujące czynniki:

a) Ustalenie co i w jakiej ilości ma być hodowane, łącznie z tem wyjaśnić ilość znajdującej się zwierzyny poszczególnych gatunków. Zestawienie to musi być przeprowadzone bardzo skrupulatnie, zwłaszcza przy hodowli grubej zwierzyny, musi być ustalona ilość według płci i wieku.

b) Traktowanie terenu leśno-łowieckiego z punktu hodowlanego, a więc stwarzanie w miarę możności jaknajlepszych warunków bytu, o czem już omówiono wyżej, pozatem uprawa właściwych roślin, zakładanie poletek, łąk, lizawek, wodopojów, paśników.

c) Karmienie zimowe winno być traktowane, jako uzupełnienie paszy naturalnej, jako środek dla możliwie równomiernego rozmieszczenia zwierzyny w celach hodowlanych i dla zapobiegania przeciw wyrządzeniu szkód w młodnikach. Pozatem karmienie musi być zorganizowane i zadawane tak, ażeby miały dostęp do paszy i młode jednoroczne sztuki.

d) Aklimatyzacja i odświeżenie krwi. Główne zasady aklimatyzacji zwierzyny łownej w ogrodzeniu (na terenach hodowlanych) polegają: — na obraniu odpowiedniego siedliska, zapewniającego i odpowiedni pokarm dla danego gatunku zwierzyny we wszystkich porach roku;—na wyznaczeniu do tego celu o ile możności większej powierzchni, bowiem niedostateczna — może doprowadzić aklimatyzację do ruiny. Dla zapewnienia spokoju zwierzynie i utrudnieniu kłusownictwa należy również pamiętać, ażeby figura powierzchni tej nie była zbyt wydłużonym równoległobokiem, a powinna zbliżać się raczej do kwadratu;—na racjonalnem karmieniu.

Dla odświeżenia krwi w miarę możności sprowadzać odpowiednie egzemplarze z dalszych stron, jako środek zapobiegawczy przeciw zwyrodnieniu. Tu zastrzegam, że pod tym względem trzeba być bardzo oględnym w wyborze zdrowego i odpowiedniego gatunku zwierzyny, by koszty i czas nie poszły na marne, zwłaszcza, gdy odświeżenie krwi ma zarazem na celu polepszenie poroża, n. p. u jeleni i sarn. Przytoczę tu przykład z własnego doświadczenia z Białowieży. Domieszka krwi „Wapiti" do naszego jelenia szlachetnego „Cervus elaphus" i sarny syberyjskiej „Capreolus pegargus" do naszego gatunku „C. vulgaris", nie dały oczekiwanych rezultatów, lecz wręcz przeciwnie wpłynęło to ujemnie na wieńce u jeleni, a zapłodnione sarny nie mogły się okocić, widocznie z przyczyny znacznej wielkości koźlęcia.

III. U ż y t k o w a n i e — s z t u k a p o l o w a n i a. Odstrzał przeprowadza się w celach normowania stosunku liczebnego danej zwierzyny do obszaru łowiska oraz stosunku ilościowego w/g płci. Jest to bardzo ważna czynność przy hodowli zwierzyny, a zwłaszcza przy hodowli zwierzyny grubej. O ile nie chodzi o masowe zmniejszenie danego gatunku zwierzyny, n. p. jeleni, sarn, to odstrzał powinien się odbywać z p o d j a z d u, z p o d c h o d u l u b z z a s a d z k i, zawsze przez l u d z i u ś w i a d o m i o n y c h lub pod ich dozorem. Natomiast karygodne są praktykowane odstrzały jeleni przy pomocy naganki i to przez ludzi, którzy zdobywają jelenie może po raz pierwszy w życiu swem. I w taki to sposób praktykowano również odstrzał byków w czasie rykowiska! Czas wielki, aby tego rodzaju odstrzały były surowo zakazane bowiem mogą doprowadzić do degeneracji.

Pozatem winny być stosowane racjonalne sposoby polowań nagankowych i innych, również zaznajomienie z prawidłowem patroszeniem, przechowywaniem i transportem zwierzyny upolowanej, z preparowaniem, łapaniem i transportem zwierzyny żywej, sporządzaniem klatek i t. p. czynnościami.

IV. R o z p o z n a w a n i e g ł ó w n y c h c h o r ó b z w i e r z y n y i ś r o d k i z a p o b i e g a w c z e.

Pozatem działy, z któremi leśnik winien być również gruntownie zaznajomiony:

V. P r a w o d a w s t w o ł o w i e c k i e.

VI. S z t u k a s t r z e l a n i a.

VII. B r o ń, j e j k o n s e r w a c j a, o b c h o d z e n i e s i ę z n i ą, p r z y g o t o w a n i e a m u n i c j i.

VIII. H o d o w l a i t r e s u r a p s ó w r ó ż n y c h g a t u n k ó w, t a k n i e z b ę d n y c h p r z y o d s t r z a l e i d o w ł a s n e j o b r o n y.

IX. H o d o w l a z w i e r z ą t f u t e r k o w y c h.

W miarę możności trzeba nam dążyć do tego rodzaju hodowli, która ma wielką przyszłość i znaczenie z punktu widzenia ekonomiczno-gospodarczego.

Edmund Wagner.

UŚMIECHY MYŚLIWSKIE

Przyrodnik każdy patrzy z przejęciem na odrodzenie się natury — kiedy to ukazują się pierwsze trawki, pierwiosnek z pod szaty śniegowej, lub złoty kaczeniec na łące zielonej. Naszego brata myśliwego emocjonuje również przytem niemało okres tak zwanych toków i ciągów wiosennych. Do niego, to się wzdycha, o nim się marzy w szarugach jesieni i w zimie zaśnieżonej... Wszystko na tym biednym świecie zużywa się i „blakuje", niestety, z biegiem czasu, za wyjątkiem pasji łowieckiej. Albowiem kto wie, czy na schyłku życia, nie jest się więcej przywiązanym do myślistwa, niż w dniach życiodajnej młodości. Każda rzetelna dusza myśliwska, wraz z odradzaniem się natury wprost napawa się wszystkiemi ślicznościami cudnego jej tła wraz z pięknem żyjącego stworzenia. To też blady uśmiech pastelowych tonów dnia zamarcia, glorje triumfu zorzy w całym swym blasku, poświata księżyca, czy welon nocy rozgwiażdżonej, symfonja, szalejących huraganów w mgłach szarug wiosennych — wszystko dla tej duszy, jest tak bliskiem, tak bardzo, bardzo drogiem!... Z kartek tej otwartej księgi wszechstworza, odcyfrowuje myśliwiec - przyrodnik każdy odruch psychiki ptaków, kwilenie sikorki, czy pieśń głuszca królewskiego, bełkot trubadurów wiosny, cietrzewi, słonek, czy lubieżne kwakanie kaczora. Te karty księgi wszechstworza dają mu ten odpoczynek, to wiano delicyj niezrównanych, którychbyś napróżno szukał Czytelniku miły śród neurastenicznej sarabandy złego miasta.

II.

Motywy słodkiej elegji przynoszą polowania na ciągi słonek.

W cichy wieczór kwietniowy, jakżeż czarownem jest oczekiwanie nadlotu długodziobych. Stopniowe zamieranie dnia w kolorycie szkarłatów i różowości, a później w pastelowych tonacjach fjoletów, podkreślonych opalowemi odcieniami—wytwarza nastroje bajecznego ukojenia, pieszczoty, rzekłbyś, matczynej, dla biednej przemęczonej duszy. Pomyśl, wokół rozlegają się: rechotania żabek, poświsty żółwi, fletowe dźwięki kuliga wielkiego (numenius arguatus) i przelatuje cień o hieratycznie wyciągniętej szyi czujnego żórawia. Wtedy to jestestwo całe, w gorączkowem napięciu trwa. Oczekuje się



Przycięte wierzby przydrożne

chrapnięcia ślicznej „waldschnappe"... Nareszcie!... I słyszy się odgłosy pełne mistycyzmu. Puszystym chwiejnym lotem zbliża się, nadlatując, piękna, tajemnicza pani. Cichy strzał — i już. Spiesząca na uśmiech wiośnianego uczucia ku przygodnej serca wybrance, ukrytej w zwiędłych zeszłorocznych paprociach,—szmatką bez życia spada, ptaszyna. Biedny rozkochany Romeo! Zamiast ku swej uroczej Julji — ku śmierci leciał! Gdy się go podnosi drgającego, kiedy się widzi te wielkie oczy z rezygnacją w zaświaty zapadające — żal mimowolny ściska serce. Po co to i dlaczego zagasiło się niewinne piękne życie?...

Wtem nowe chrapnięcie!... Atawistyczny pierwiastek epok jaskiniowych bierze górę!... Z chciwością znowu przysłuchujesz się, wypatrując nowego nadlotu. I znowu drugi strzał, potem trzeci. W zapomnienie idą precz, wszystkie sentymentalne nastroje. Myśliwiec myśli tylko o tem, aby nie spudłować, broń Boże!...

Dziwną, zaiste, bywa owa psychika, dusz myśliwskich, skomplikowaną i zawiłą, jako życie samo. Lecz cóż robić? Każdy z nas, wyznać musi, że tak czynił nieraz i tak czyni obecnie i tąż samą krwiożerczością odznaczać się będzie na wieki. Są to mroki niezbadane tajników psychologji ludzkiej.

Pomimo tych wszystkich retrospektywnych wyrzutów sumienia, rok cały marzymy o tych ciągach słonek i innych delicjach.

III.

Siedząc w budce na cietrzewie, przeżywa się rozkosze zupełnego osamotnienia.

Przewodnik, zakrywszy gałęziami wszelkie zdradzieckie otwory szałasu, odchodzi, rozpływając się w ciemnościach nocy. Przytuliwszy się w wyrytej zazwyczaj jamie, w skupieniu intelektu całego, rozpatruje się swe wewnętrzne „ja". Wskrzeszają się obrazy i wrażenia lat dawno minionych, sylwetki osób drogich, tych co na zawsze odeszły i spóźnione żale wielu błędów przeszłości. Wszystko jest w tem rozmyślaniu, podczas tych godzin samotnych.

Raptem, syczące, stłumione jakby szarzyzną przedświtu, nieśmiałe czuszykanie rozlega się z pobliskiego mokradła. Już kilka kogutów odpowiada na nie, coraz groźniej, z większą swadą. Chwila, a potem z szumnym łopotem zapada tokowik... Czarna jego sylwetka odznacza się na pobliskim pagórku. Tuż tuż... Nadlatują coraz to nowi szermierze. Widać białe ich podogonia, owe rozwarte liry, uganiających się czarnych trubadurów... Tymczasem, rozwidnia się coraz bardziej. Następują podskoki dziwne, gruchania namiętne, a nawet batalje srogie. Zczepione koguty za bary się wodzą. Pióra lecą, krwi krople nawet. Wylatują na tok skromne, szare cieciorki! Drobnemi kroczkami biegają po tokowisku. Minki ich są niewinne i obojętne, jakby wcale o nie nie chodziło. A gdy która z rozamorowanych dam

wytrzymać już nie może zrywa się i leci we wrzosowiska pobliskie. Natychmiast, któryś ze sprytniejszych kogutów za nią podąża. Inni natomiast z jeszcze większą furją walczą i biją się. Jest o co, gdyż o względy cieciorki turniej się odbywa.

I wtenczas wybierasz najbliższy kłębek dwóch okazów walczących, — na cel, strzał, i „finita la comedia"! Dwaj granatem szmelcowani rycerze, o białych skrzydeł przepaskach, konwulsyjnie biją piasek w ostatniej agonji. Pomału zastygają — na zawsze. Śmierć ich pogodziła. Requiescat in pace!

Bądźcie błogosławione uśmiechy myśliwskie.

IV.

Ostatnim, wspaniałym akordem, uśmiechem najdroższym to — osadzenie i podchód głuszca.

Często widzi się go w gotyku filarów, rzekłbyś, jakiejś katedry średniowiecznej, do których podobnemi bywają wysokopienne, sosnowe drągowiny. Z wieczora już myśliwy zasiada w rejonie zalotów głuszcowych. Zaraz po zachodzie słońca, do aeroplanów podobne, nadciągają do miejsca zawodów godowych ogromne, czarne ptaki. Po zaobserwowaniu ściśle ich usadowienia się, do cienia podobny, wymyka się z pod głuszca, myśliwiec, z powrotem do kurzenia czy ogniska. Ptaki tymczasem z głową pod skrzydło schowaną, zasypiają spokojnie. Śnią pewno o rannych rozkoszach lub o pieśniach na cześć swych bogdanek. Dla wielu z nich ostatnią jest ta noc wiosenna, nie jeden pieśń łabędzią swą odśpiewa...

Po krótkim, parogodzinnym odpoczynku budzą cię sakramentalne słowa gajowego - poleszuka: — „Panoczku wesełyki (żórawie) hołos dajut!"...

Żrywa się ze swego posłania, z aromatycznych chwojaków myśliwiec i hajda, co prędzej, do miejsca wczorajszych zapadów. Długa przeprawa po brodkach, śliskich kładkach zdradzieckich i — już się jest na właściwym terenie. Natenczas to dwie istoty ludzkie zatapiają się w wysłuchiwanie tej ciszy z doskonałych najdoskonalszej.

— Panoczku hraje, jej Bohu hraje! — histerycznie wyszeptuje „pniak leśnik".

Słyszy się, rzeczywiście do żadnych innych niepodobne dźwięki, zrodzone jakby z mroków nocy i jej walki z dnia światłością. Przypominają one sny gorączkowe, głęboko uśpionego człowieka. Odnosi się wrażenie, że już się słyszało kiedyś „gdzieś" tam w zaświatach majaczeń sennych, owe stłumione, perliste kaskady szlifowania staccato, i klapnięć przedziwnych. Nieprzepartą siłą wiedziony, podskakuje myśliwy w takt pieśni i żadna siła w świecie już go nie zatrzyma. Jest nareszcie pod głuszcem, widzi go — szyja, jak u żmiji wyciągnięta, trzęsąca się broda, wachlarz — ogon na nawpół rozwarty, skrzydła namiętnie opuszczone... Drga cały w upojeniu miłosnego szału, w magji swych obietnic kochania, wybranki, głuszycy. Dowoli nasyciwszy się rozkoszą obserwowania tego przedziwnego fragmentu natury, z żalem bierze się na cel, „pod pieśń", czarną sylwetę. Echem stokrotnem rozlega się po puszczy grzmot strzału, gasnąc wśród rannych, mglistych oparów i we wrzosy miękkie i głębokie wali się olbrzymia masa. Łamie choinę sosny, spada na ziemię, na tę ziemię, która tyle sił życiodajnych zawiera, tyle pokoleń podobnych wyhodowała.

A puszcza milczy, dzieląc się naokół, jakby grozą gwałtu przejęta.

Adam Rzewuski

GŁUSZCE W ZOOLOGU WARSZAWSKIM

W artykule „dziwo-pisklę w naszem „Zoo", („Rekord Wieczorny" z d. 9.V) słusznie pisze autor, że dyr. warszawskiego ogrodu zoologicznego dr. Żabiński dumny może być ze swoich głuszców, bo spodziewa się od nich nawet potomstwa, choć z braku zaufania do cnoty macierzyńskiej głuszycy, zmuszony był powierzyć jej jajko macosze-bażancicy.

W istocie cała stolica zainteresowała się obecnie nabytemi głuszcami bo tak świetnie utrzymanych, zdrowych i pięknych okazów, żaden najstarszy nawet ogród zoologiczny w Europie nie posiada.

Niejednokrotnie przyglądałem się z zachwytem naszym głuszcom w warszawskim ogrodzie zoologicznym, a w szczególności samemu „graczowi", który upojony miłością, zalotnie jak wielki monarcha, kroczy z zadartą w górę głową, napuszoną brodą, rozwartym dziobem, naprężonemi ku ziemi lotkami i pięknie rozstawionym wachlarzem, od czasu do czasu „poklapując" do tonu swej miłosnej pieśni.

Małżonka - głuszyca, niemniej w swoim rodzaju piękna, jak jej małżonek, snać jednak przesycona miłością, (czego dowodem choćby mocno rozczochrana i oskubana jej główka), trzyma się zdala, unikając zbliżenia się do małżonka. Temu wszakże dziwić się nie należy, bowiem natura przekazała głuszczowi prawa wielożeństwa, a tu narzucono mu tylko jedną żonę.

Tuż za ścianą drucianą obok głuszcza zamieszkuje również świetnie utrzymany, jurny cietrzew, który namiętnie lecz zarazem rzewnie tokuje. Dziwić się temu nie można. Wszak nieborak patrzeć wciąż musi na rozkosze miłosne swojego krewniaka, a sam żony nie mając, skazany jest w Zoologu na przymusowy celibat. Z tego namiętnego tokowania tuż przy samej ścianie obok głuszca, łatwo wywnioskować, że cietrzew chętnie dopuściłby się cudzołóstwa, gdyby tylko owa niegodziwa siatka nie stała na przeszkodzie. Nie byłby to z jego strony znów tak skandaliczny wybryk, zwłaszcza w niewoli. Wszak podobne wybryki są w tej rodzinie cietrzewi żyjącej na wolności dość szeroko znane, a płodem ich są głuszce-karły (zwane przez Niemców „Rackelhahn"). Takich głuszców - karłów napotyka się na Polesiu sporo. Mają one więcej cech głuszca aniżeli cietrzewia.

Wychować głuszce w niewoli jest niezmiernie trudno, nawet przy sprzyjających warunkach przyrodniczych i naprawdę niewiem, czy się to komu udaje. Ja sam hodowałem je przez cztery lata, czerpiąc jaja z gniazd głuszyc na wolności, lecz wychować ich nie udawało mi się nigdy. Niektóre tylko pisklęta dożywały kilku tygodni, reszta już wcześniej umierała.

Jeżeli to się uda dr. Żabińskiemu w ogrodzie zoologicznym warszawskim, niewątpliwie będzie to b. duży sukces. Szkoda jednakże, iż powierzono jajko macosze - bażancicy, a nie prawdziwej matce, która przecież wychowanie swojego rodu lepiej pojmuje. Zresztą zobaczymy.

W. Michalski

STACJA BADANIA WĘDRÓWEK PTAKÓW.

Badaniem wędrówek ptaków oraz ich obrączkowaniem zajmuje się w Polsce „Stacja Badania Wędrówek Ptaków", istniejąca przy Państwowem Muzeum Zoologicznem w Warszawie. Współpracownicy Stacji zakładają schwytanym w różnych punktach kraju ptakom na nóżki lekkie aluminjowe obrączki, z wyrytym numerem kolejnym oraz nazwą Stacji poczem wypuszczają ptaka na wolność.

Wyniki badań zależne są przedewszystkiem od tego, czy przygodni znalazcy obrączkowych ptaków, zawiadomią Stację o swem spostrzeżeniu — uprasza się przeto o odsyłanie pod adresem Państwowego Muzeum Zoologicznego (Warszawa, Krakowskie Przedmieście 26/28) obrączek zdjętych z nóg ptaków, czy to zabitych, czy schwytanych, czy też przygodnie znalezionych niezależnie od tego, z jakiej stacji — polskiej czy zagranicznej — obrączka pochodzi.

Do przesłanej obrączki, a lepiej jeszcze do ptaka wraz z obrączką należy dołączyć kartkę z nazwiskiem i adresem wysyłającego oraz dokładną wiadomością, w jakiej miejscowości, (województwo, powiat, gmina) ptaka znaleziono, zabito, czy też schwytano. Koszt przesyłki na żądanie będzie zwrócony.



Sarny w warszawskim ogrodzie zoologicznym

KONFERENCJA REFERENTÓW ŁOWIECTWA

W maju odbyła się w Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych w Warszawie konferencja wszystkich referentów łowiectwa Dyrekcyj Lasów Państwowych pod przewodnictwem Konsultanta dla łowiectwa w Lasach Państwowych p. Knothego. Celem konferencji było omówienie wytycznych gospodarki łowieckiej w Lasach Państwowych na najbliższą przyszłość. Omówiono sprawę eksportu żywej zwierzyny, czasów ochronnych, odstrzału kóz dla doboru płciowego u saren oraz wiele innych aktualnych zagadnień łowieckich.

Uczestnicy zwiedzili pierwszy pokaz trofeów łowieckich, urządzony staraniem Polskiego Zw. Stow. Łowieckich, gdzie mieli możność pogłębienia swej wiedzy łowieckiej, szczególnie w kierunku oceniania jakości poroży. Również zwiedzono hodowlę i tresurę psów myśliwskich t. zw. „Żółtą Karczmę" w Służewie gdzie zapoznano się z sposobami tresury wyżłów oraz pracą ich w polu.

Oss.

PAPIEŻ ORĘDOWNIKIEM PTAKÓW

Ojciec święty przyjął ostatnio na audjencji znanego działacza w dziedzinie ochrony ptaków, ks. katechetę dra Rudolfa Jenaczkę, który obecnie bawi we Włoszech i wygłasza tam odczyty w Cita del Vaticano na temat ochrony dzikiego ptactwa. Tematem audjencji u papieża było urządzenie ogrodów watykańskich, jako przytułku i schroniska dla ptaków.



Małe lwiątka czują się bezpiecznie pod troskliwą opieką matki

ECHA POLOWANIA NA WILKI

W związku z notatką p. t. „Polowanie na wilki", zamieszczoną na str. 17-ej numeru majowego, „Ech Leśnych", komunikują nam, iż polowanie to miało miejsce również i na terenie Nadleśnictwa Krynki, sąsiadującego z Nadleśnictwem Daliły, przyczem w pierwszem z nich zabito dwa wilki, w drugiem zaś wilczycę. Udział pracowników Nadleśnictwa Krynki zarówno w organizowaniu polowania, jak i tropieniu wilków był bardzo wydatny.



Park Narodowy w Pieninach

NAŚLADOWANIE PTAKÓW

Lud nasz obdarzony jest wielkim zmysłem spostrzegawczym, który posiadł, obcując w życiu codziennem z matką - przyrodą. Prawo prioritetu w nadawaniu nazw tworom natury tak martwej, jak i żywej bezsprzecznie należy do ludu. Większość nazw roślin, kwiatów, ptaków i zwierząt w języku ojczystym, każdy naród zawdzięcza przyrodnikom z bożej łaski zpośród ludu. Nazwy te, co należy podkreślić, są niepozbawione głębokiej treści, osnutej na własnościach danego objektu, cechach środowiska, w jakich przebywa czy żyje, charakterystycznych podobieństwach do objektów bardziej znanych w życiu codziennem i t. p.

Lud pierwszy podpatrzył i uzmysłowił sobie wzorowo nieraz to, nad czem uczeni i badacze trawili długie lata. Taka w swoim rodzaju botanika i zoologja „stosowana" istniała przecież już od wieków, a podpatrzone tajemnice przechodziły z ojca na syna, z matki na córkę, często wprawdzie w zniekształconej formie zewnętrznej ze względu na zmiany w czasie,—lecz treść, choć pokryta grubą warstwą naleciałości, pozostawała ta sama. Z biegiem czasu, dzięki takiej zniekształconej formie lud zapominał o treści, zadawalając się powierzchowną szatą zewnętrzną. Dlatego dziś nieraz trudno się doszukać sensu niektórych nazw, przysłów i formuł. Taka przez nikogo niepisana wykładnia tajników przyrody istnieje jeszcze i dziś po wsiach, lecz, niestety, ubożeje z dnia na dzień w miarę tego, jak wymierają ludzie starzy, zaś w młodsze pokolenia przenika duch miast, zatracając stopniowo swoisty zmysł obserwacyjny w stosunku do przyrody.

To też obowiązkiem każdego, kto z ludem bliżej żyje, jest skrzętne notowanie tych ginących zabytków przeszłości, by następnym pokoleniom przekazywać pamięć, że lud, pomimo, iż żyje w codziennej pracy i znoju, był zawsze wielkim miłośnikiem przyrody.

I w interesie samego ludu leży, by z historji jego rozwoju nie wypadła karta, zapisana złotemi zgłoskami o jego stosunku do matki-przyrody.

Celem mojego artykułu jest zwrócenie uwagi leśników na ten przedmiot i pozyskanie chętnych, którzyby skrzętnie notowali wszystko, co dziś istnieje jeszcze w tej dziedzinie, gromadząc materjał i powierzając go w odpowiednie ręce do opracowania. Chcę też sam zwrócić na to uwagę, że w wielu okolicach, szczególnie lesistych naszego kraju, żyją między ludem i przechodzą z ust do ust przepiękne naśladownictwa słowne śpiewu naszych ptaków. Lud, darząc według swego zrozumienia przyrodę miłością, chciał przecież widzieć i w zwierzętach i ptakach swych sojuszników, nieraz powierników swych trosk i radości, a więc wkładał swą intuicją w gardziołka naszych śpiewaków pierzastych takie słowa - piosenki, któreby odzwierciadlały jego skrytą duszę i wszystko to, co stanowi jego świat materjalny i umysłowy. Nieraz też w kilku prostych, naiwnych nawet słowach umiał on doskonale zakuć nieuchwytną do uzmysłowienia piękną melodję, a słowa odzwierciadlały przytem jakiś szczegół z jego własnego życia w tym czasie i okolicznościach, w jakich dany ptak śpiewa.

Najbardziej znane może jest naśladownictwo śpiewu słowika:

Maciuś, Maciuś, Maciuś!...
Co, co, co, co, co, co?
Boli - li, bo - li, bo - li...
Gdzie, gdzie, gdzie?
Tu, tu, tu, tu, tu, tu!...
Skrob, skrob, skrob!...
Cu - hi, cu - hi, cu - hi...

Czyż nie przypomina nam się ten często spotykany po wsiach typ „pomylonego" Maciusia, co to wygrywa na fujarce, struga kozikiem figurki świętych i wiatraki, a gdy mu staje się ciasno i tęskno na wsi, wędruje w świat szeroki do tych, co go może lepiej zrozumieją?

Tak znowu opisują ludzie niecnotę lisa, co to, gdy drozdy w najlepsze śpiewają, podkrada się pod opłotki, by tłustą kokoszkę „zcapić" i przynieść swym malcom do nory:

Kita - lis, kita - lis, kita - lis —
Kurę zjadł, kurę zjadł, kurę zjadł!
Mam pieska pstrego
Poszczuję go:
Huź go! Huź go! Huź go!

Tak śpiewa drozd, a trznadel po deszczu siada na przydrożnej gruszy albo jarzębinie i zawodzi:

Jak zmokniesz, nie będzie ci
n-i-i-c!

Jaskółki - dymówki, gnieżdżące się w budynkach wiejskich, lubią sobie siadać na kominie i szczebiotać, jak sąsiadki, jedna do drugiej:

Uszyłabycim rękawiczki,
Uszyłabycim rękawiczki,
Ale nie mam ni - c i i i!

Zięba zwraca uwagę dziewczętom:

Coś zrobiła,
Coś zrobiła...
A wi - dzisz!..

Skowronek wypomina znowu nieopatrznemu gospodarzowi złe karmienie bydła podczas zimy, gdy to nie może on wstać z osłabienia, by wyjść na pierwszą zieloną trawę:

Jakżeś pasł, tak masz,
Jakżeś pasł, tak masz!...
A teraz — po rogach, po nogach,
Po nogach, po rogach
Będziesz bił!...

Sikora skarży się na ojca rodziny na przednowku:

Tata pije, tata pije,
Tata pije, tata pije!...

Zaganiacz siedzi na gruszy i wydrwiwa skłopotanego ćmila:

Ćmil, Ćmil, Ćmil!...
Ma siedem córek, ma siedem córek!...
Córek sie - e - dem, córek sie - e - dem, córek sie - e - dem!
Każda zamąż chce, każda zamąż chce!...

Podejrzany w swych stosunkach towarzyskich do mieszkańców wód trzciniak - drozdówka krzyczy:

Ryba, ryba, rak, rak, rak!..
Świerzbi, świerzbi, drap, drap, drap!...

I wieleż to takich i tym podobnych piosenek, naśladujących śpiew ptactwa żyje między ludem? I czy nie szkoda byłaby, gdyby ta prosta i naiwna może, ale miła i dużo mówiąca wykładnia zawiłych częstokroć treli naszych pierzastych śpiewaków zaginęła bezpowrotnie?...

Inż. J. J. Karpiński



Kościół katedralny na Wawelu Rys. Z. Stankiewiczówna

O DWÓCH KOPERNIKACH I GWIAZDACH

O tym z Krakowskiego Przedmieścia nie mówię, zna go każdy kto choć raz w życiu stanął w Warszawie pod kościołem Św. Krzyża i patrząc na pomnik wypowiedział z podziwem: Kopernik. Wiemy dobrze, że to dzieło Thordwaldsena, duńskiego rzeźbiarza.

Mnie go żal, wciąż go poprawiają, aby lepiej wyglądał. To mu kwiatki posadzą, to kopczyk ziemi u stóp ubiją, to balustradą żelazną ustroją postument, to znów wszystko usuną i betonową obręczą ogrodzą pomnik. Nie o to chodzi, nic z tego.

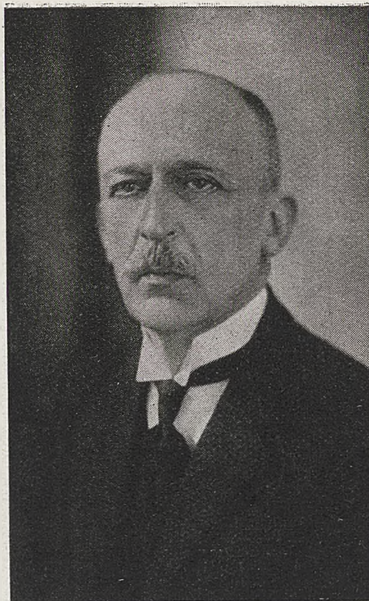
Siedzi ten warszawski Kopernik przed pałacem Staszica, na którego frontonie widnieje napis: „Societas Scientiarum Varsoviensis", a twarz jego wyraża iście anielską cierpliwość. Nie dlatego, że w jego oczach podczas ostatniej zimy zlała policja wodą wiecujących studentów. Na Alasce bywa ludziom nawet w lecie stokroć zimniej. Nie dlatego, że naprzeciwko niego wznosi się kościół, na którego łono przywrócono badacza nieba dopiero po dwóch wiekach za rzekomo heretyckie nauki, dowodzące, iż Ptolomeusz pokpił sprawę bo ziemia obraca się naokoło swej osi i słońca i bynajmniej wcale nie stoi w miejscu.

Nie dlatego. Za rzeczy przedawnione nie można się obrażać. To jasne, jak słońce. Lecz dlaczego, myśli sobie Kopernik, postawili mnie w najruchliwszym punkcie miasta, gdzie wciąż dudnią tramwaje i przewala się na kołach i obcasach najgłośniejszy ruch uliczny, tego nie zgadnę. Tedy siedzi Kopernik na cokole śród wrzawy, w powodzi świetlnych reklam, i czeka cierpliwie aż wreszcie w Warszawie nastanie odpowiednia cisza do pracy. Tymczasem trzyma na kolanach przygotowaną od wielu lat ekliptykę.

Co innego wyraża Kopernik krakowski, ten z dziedzińca Starego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Odrazu poznać: prawdziwy, genjalny matematyk, doktór astronomji, myśliciel zaspokojony. Stoi sobie na tle sędziwych murów własnej uczelni, w miejscu najczcigodniejszem i najpiękniejszem w świecie, w ciszy krużganków nad studnią, jakby nad krynicą wiedzy zadumany. Jest wokół nastrój tajemnicy, przejmującej do głębi duszy. Nikt tu wiekowego spokoju wszechrzeczy nie mąci, wszystko prawie jest jak wtedy, gdy ponad salą albetańską, od znawcy gwiazd Albatenjusa, Araba, nazwaną, miał swe obserwatorjum urządzone na dachu, uwiecznione w

obrazie Matejki. Na dziedzińcu pod łukami mrocznych arkad chłód wieje od piwnic, w których ongi znaleźli pracujący murarze złote sprzęty, odkupione potem przez królewicza Fryderyka i przetopione na psie obroże i okucia uprzęży końskiej. Te czasy, gdy królewicz Fryderyk był kanclerzem akademji i sale szkolne na parterze kazał użyć na sokoliczarnie minęły wrychle, ustępując miejsca nauce, logice, sofistyce. Ściany spękane, jeszcze dziś zdają się powtarzać odległe echa dysput nad księgami, a w powietrzu, jakby w pajęczynę owinięte, snują się aksamitne cienie rektorów i bakałarzy w biretach, żądnych poznania absolutu.

I mimowoli w tym uroczystym zakątku wiedzy przychodzi na myśl świetna powieść Antoniego Wysockiego p. t. „Zabawy mędrców". Przy balustradzie ganku sunie pochylony nad dysputą z sobą samym duch bacalarusa, Kłosa, a za nim tłum żaków, pokłóconych nad rozważaniem „nowinek" reformatorskich. Wśród uczniów medyków wyłania się twarz lekarza Radlickiego, onego śmiałka uczonego, który pierwszy domyślił się praw krążenia krwi i badał anatomję na trupach. Za nim grupa licencjantów, podpierając mądre głowy na dłoniach, debatuje nad pytaniem arcyważnem: „czem właściwie jest słowo?" lub „ilu aniołów może się pomieścić na końcu szpilki?" albo też „jak naprawdę wyglądać musi djabeł?" Dalej kopiści na wysokich pulpitach, przepisujący księgi sławetnej



Fot. J. Malarski

Antoni Wysocki, autor świetnej powieści p. t. „Zabawy mędrców" z czasów XVI wieku w Krakowie

Bibljoteki Jagiellońskiej, chaldejskie listy uczniów apostolskich, święte księgi egejskie, przepisy ustaw frankońskich. Obok statyści, studjujący edykty Kazimierzowe i historyczne foljały w skóry inkrustowane oprawne, warte pięciu wsi za jedno dzieło, a przecież nabyła ich dziesiątki święta żona Władysława Jagiełły, Jadwiga, mieniając na nie swe klejnoty panieńskie. W szeregu mentorów kroczą szumnie poecice łacińscy, kawalerowie złotej ostrogi, uzyskanej na konkursie poetów w Bolonji.

Przesuwa się pod zamkniętemi powiekami ten orszak osobliwy, dążąc wzdłuż krużganków dostojnie za postacią Wiedzy, trzymającej w rękach płonącą wieczyście lampkę oliwną. Jakbyśmy patrzyli na wizję Odrodzenia, coś w rodzaju pochodu na Wawel, Szymanowskiego.

Otwieramy oczy i obraz znika. Postacie giną, jakby zapadły się w szkarpę ściany nawprost lektorjum Galena i Marona. Na pustym dziedzińcu stoi tylko Kopernik, zadumany nad studnią. Wkrąg głucha cisza.

Kiedy przybędziesz do Krakowa, dziś miasta turystów, i wyzwolisz się na chwilę ze szponów przewodników, kiedy Wawel, kopiec Kościuszki i tum Marjacki staną dęba na Twojej uznojonej głowie, radzę Ci, usiądź sobie, wędrowcze, na ławce w dziedzińcu starej, cichej uczelni Jagiellońskiej i pogawędź z Kopernikiem o mijających kolejach doczesnego świata. Tak brzmieć powinno ostatnie zdanie w przewodniku po Krakowie.

Jest pięknie teraz, czerwiec, czas letni, pora kwiatów i zieleni. Przyroda roztoczyła wachlarz barw, a nad szczytami drzew, nad gościńcami ludzkiego życia, nad białym dymem z kominów miast i wsi, świecą stare przyjaciółki o wiecznej młodości — gwiazdy. Są one niezmiennie te same, jak je byli nazwali Grecy jeszcze 400 lat przed Chrystusem, a później J. Bayer, J. Bartsch i Lacaille.

Żywimy szczery sentyment do gwiazd, powierniczek wszelkich uczuć wiosennych. Zresztą mamy do tego pełne prawo. Polska jest blisko spokrewniona z niebem, nietylko przez Kopernika. Już król Jan III żywił szczególny szacunek dla teleskopu astronoma Heweljusza, któremu wypłacał tysiąc zł. polskich dożywotniej pensji. Majątek, na owe czasy. Przyznać trzeba, że astronom obdarował wzamian króla gwiazdozbiorem przez siebie odkrytym, a nazwanym „Scutum Sobiescii". Na dowód specjalnego umiłowania nieba przez Polaków możnaby jeszcze wymienić niedawne odkrycie komety przez Orkisza, w czasach, gdy globus niebieski dawno przetrząśnięto, jak własną kieszeń. A poeci? Niema wiersza bez jednej chociażby gwiazdki z nieba.

A zakochani? Dla nich gwiazdy są tem, co dla wielu głodnych chleb z masłem. Im to poświęcam ten marzący artykuł.

Janusz Stępowski

Ż A L

Szumią małe gałązki, pachnie kwiat lipowy,
Złote łany pszenicy widnieją z oddali.
Chylą się nisko chłopskie, spracowane głowy.
W kolorowych witrażach żar słońca się pali.

Szmer modlitwy dociera, aż do stóp ołtarza.
Pod kolumną w kąciku ktoś płacze boleśnie,
Szary lud cichym głosem litanję powtarza.
Stoję, patrzę i słucham i jestem jak we śnie.

Jakaś wielka tęsknota zbliża się powoli,
Coś roztapia się w sercu i płynie do duszy.
I czuję co ich cieszy, czuję co ich boli,
Jakaś dłoń niewidzialna wewnątrz mnie coś kruszy.

Z moich oczu opada błękitna zasłona, —
Wychodzę dziwnie smutna i dziwnie zmęczona.

JANINA ROSNOWSKA



Defilada powstańców przed Prezydentem Rzplitej w Katowicach podczas uroczystości dziesięciolecia powstania śląskiego Fot. W. Pikile

Z MIESIĄCA

W STOLICY I W KRAJU

Gabinet pułk. Walerego Sławka podał się do dymisji. Nowy Gabinet utworzył pułk. Aleksander Prystor. Przesilenie rządowe miało związek z osobą ministra Skarbu p. Matuszewskiego, jego bowiem, prócz premjera, brak w nowo utworzonym rządzie. Tekę Ministra Skarbu objął brat p. Marszałka Józefa Piłsudskiego Jan Piłsudski. Na miejsce p. Aleksandra Prystora, który został premjerem, tekę Ministra Przemysłu i Handlu objął jenerał brygady dr. Ferdynand Zarzycki.

W Ministerstwie Rolnictwa odbył się międzynarodowy kongres do badania szkodnika zbóż (la pyrole du Mais). Na kongresie były reprezentowane przez delegatów Austrja, Danja, Francja, Niemcy, Polska, Rumunja, Jugosławja, Szwecja, Stany Zjednoczone, Szwajcarja i Węgry.

Oficerom zawodowym i podoficerom przywrócono 10%, z cofniętego 15% dodatku do uposażenia. Ponieważ oficerowie i tak mieli wyższe uposażenia od odpowiednich stopni w służbie cywilnej, a nadto pobierają szeroko stosowane dodatki funkcyjne, stali się obecnie kastą uprzywilejowaną. Rozgoryczenie pracowników cywilnych jest olbrzymie, nie mogą bowiem zrozumieć dlaczego wyłącznie oni — najgorzej uposażeni — mają ponosić konsekwencje deficytu budżetowego. W całym kraju odbywają się zebrania protestacyjne urzędników państwowych.

Górny Śląsk święcił nader uroczyście rocznicę powstania górnośląskiego. Na uroczystościach był obecny p. Prezydent Rzeczypospolitej. W związku z temi uroczystościami wywiązała się na łamach pism różnych odcieni polemika w sprawie osoby twórcy powstania górnośląskiego — Korfantego. Journal des Debats dowodzi, że nikt inny tylko Korfanty dał Polsce Górny Śląsk, i że jak długo on będzie na Górnym Śląsku, Niemcy nie ośmielą się reklamować tej najcenniejszej perły bogactw polskich.

W związku z uroczystościami ku czci Joanny d'Arc przybyło do Warszawy dwóch wybitnych historyków francuskich prof. A. Coville i P. Champion. Uczeni ci wygłosili szereg wykładów.

Zmarł wybitny pisarz i publicysta Zdzisław Dębicki. Literatura polska ponosi ostatniemi czasy jedną po drugiej — niepowetowaną stratę przez śmierć najwybitniejszych jej przedstawicieli.

W Wileńszczyźnie szalała powódź. Straty są olbrzymie, bardzo wiele osób szczególnie drobnych rolników utraciło cały swój dobytek i dach nad głową. Pod protektoratem p. Prezydentowej Mościckiej utworzył się komitet pomocy powodzianom.

LIGA NARODÓW

Liga Narodów rozpatrywała na bieżącej sesji między innemi sprawy górnośląskie — wskutek skargi Volksbundu, sprawę zatargu polsko-gdańskiego, oraz sprawę „Anschluss'u" (unji celnej austro-niemieckiej).

Curtius, który w sprawie Anschlussu poniósł dotkliwą porażkę chciał się odegrać kosztem Polski. Referent Yoszigowa opracował raport na podstawie wyjaśnień polskich. Po bezowocnej, a zawziętej walce o każde słowo raportu, Curtius, aby porażkę swą zmniejszyć, postanowił uniemożliwić przyjęcie sprawozdania na bieżącej sesji. Ponieważ w tych sprawach wymagana jest jednomyślność — udało mu się to bez trudu. Przyjęcie sprawozdania zostało odroczone do sesji wrześniowej. Zapłacił jednak za to Curtius drogo, bo odroczeniem szeregu innych spraw śląskich, na szybkiem załatwieniu których Niemcom szczególnie zależało.

W sprawie skarg ukraińskich, Komitet Trzech postanowił odroczyć zbadanie sprawy do najbliższej sesji.

W sprawie zatargu polsko-gdańskiego sprawozdawca Henderson w swem przemówieniu ostro wystąpił przeciwko organizacjom nacjonalistycznym, co do których stwierdził, że ich manifestacje polityczne kryją w sobie niebezpieczeństwo. Wrażenie mowy Hendersona starał się zatuszować Curtius, który nadużywając jawnie uprawnień przewodniczącego Rady wygłosił mowę, w której w imieniu Rady oświadczył: „Trzeba aby obydwie strony wstrzymały się od wszelkiej prowokacji i aby obie strony poczyniły wszelkie możliwe wysiłki w celu zabezpieczenia pokoju na tem terytorjum. Poza tem wezwaniem, które zwracam do obu stron, i które — mam nadzieję otrzyma aprobatę Rady, sądzę, że mogą dyskusję na ten temat uznać za zamkniętą.

Wystąpienie Curtiusa, wywołało niesmak w kołach angielskich, minister Zaleski zaś wystosował do Curtiusa protest, którego jednak Curtius nie uznał.

Sprawa „Anschlussu" została odesłana do Trybunału międzynarodowego w Hadze.

Sprawa międzynarodowego kredytu rolnego posunęła się znacznie naprzód. Zostanie utworzony międzynarodowy bank rolny przez Francję, Belgję, Luksemburg, Włochy i grupę państw rolnych z Polską na czele.

Sowiety wniosły projekt paktu o nieagresji gospodarczej. Ponieważ Rada tego projektu — wbrew oczekiwaniom Litwinowa — nie odrzuciła, projekt będzie dyskutowany w lipcu. Wówczas to Litwinow będzie musiał wyjaśnić, co rozumie pod nieagresją gospodarczą. Niewątpliwie wypłynie wówczas również sprawa dumpingu sowieckiego. Wytworzyła się sytuacja dla Sowietów conajmniej kłopotliwa.

Trybunał Sprawiedliwości w Hadze wydał jedenastu głosami przeciw jednemu opinję, że dzieciom wyłączonym ze szkół mniejszościowych na podstawie egzaminów maurerowskich nie można obecnie zamknąć dostępu do tych szkół. Trybunał uważa, że skutki tego zarządzenia rady Ligi Narodów przestały obowiązywać po wyroku trybunału z r. 1928, tak, iż miarodajne są jedynie deklaracje rodziców, które powinny wprawdzie — odpowiadać prawdzie, lecz nie mogą być sprawdzone ani kwestjonowane.



Dwaj lotnicy polscy kpt. Skarzyński i por. Markiewicz po powrocie z rajdu nad Afryką Fot. W. Pikiel

ROSJA SOWIECKA

W „Raju Sowieckim" brak dotkliwy artykułów najpierwszej potrzeby. System kartkowy, mimo zapowiedzi nie może być zniesiony.

Na Kaukazie trwa z niesłabnącą siłą ruch powstańczy. Z okręgu Terskiego 83 rodziny kozackie, oskarżone o współdziałanie z powstańcami, zostały wysiedlone do okręgów północnych na przymusowe roboty leśne.

Bolszewicy wprowadzili pracę przymusową w przemyśle leśnym. Każdy robotnik, otrzymujący urlop, musi dwa tygodnie przepracować bezpłatnie w przemyśle leśnym, poczem dopiero zyskuje prawo do spędzenia reszty urlopu w jednem z sowieckich uzdrowisk. Każdy robotnik obowiązany jest złożyć do kas oszczędnościowych socjalistycznego czerwońca, którego nie wolno mu podjąć w ciągu 5 lat. Kto czerwońca nie złoży, będzie uważany za zdrajcę komunistycznej rodziny. Jest to przymus oszczędności, który w związku z bardzo ciężkiem położeniem ekonomicznem robotników wywołał duże niezadowolenie. W Moskwie wybuchł strajk, który objął około 50.000 robotników. Strajk ten, aczkolwiek tłumiony przez G. P. U. zwykłemi metodami wywarł na sferach kierowniczych duże wrażenie.

Wskutek zmniejszenia porcyj mięsa i niewydania porcyj dodatkowych robotnicy moskiewscy urządzili rewoltę, w czasie której zdemolowali szereg sklepów spółdzielczych.

Na Ukrainie wybuchł strajk rolny. Włościanie, którym skonfiskowano uprzednio majątki odmawiają pracy w komunach rolnych.

Agitacja bolszewicka wśród Polaków na Białej Rusi dała rezultaty ujemne. Władze sowieckie musiały zamknąć wydział polski przy komunistycznym uniwersytecie republiki białoruskiej, przeznaczony do szkolenia agitatorów-Polaków, ponieważ w ciągu roku szkolnego zgłosiło się zaledwie trzech słuchaczy.

NIEMCY

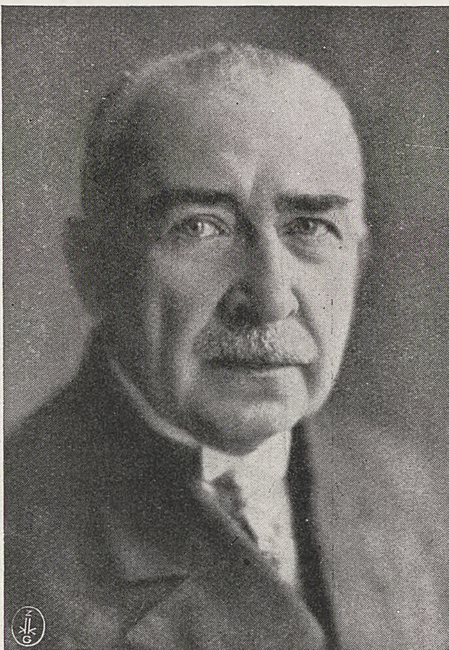
Hitlerowcy dążą do obalenia ustroju republikańskiego w Niemczech i wprowadzenia monarchji. Na zamku Oels na Śląsku odbyła się z udziałem b. następcy tronu konferencja na ten temat. Hitlerowcy zapewnili następcę tronu, że gdy zajdzie tego potrzeba dokonają przy współudziale Stahlhelmu przewrotu z bronią w ręku.

W porcie kilońskim dokonano spuszczenia na wodę krążownika „A", któremu nadano nazwę „Deutschland". Spuszczenie na wodę i chrzest krążownika był dla pacyfistycznych Niemiec świętem narodowem, w którem wzięli udział prezydent Hindenburg, kanclerz Bruening, cała jeneralicja, kadry Reichswehry i wszystkie legalne i nielegalne organizacje wojskowe. Wskazując na dumne dzieło najnowszej techniki wojennej kanclerz Bruening podkreślał „pokojowe poczynania Niemiec".

Niemcy są ogromnie zaniepokojeni budową nowej linji kolejowej polskiej, łączącej Górny Śląsk z Bałtykiem. Obawiają się Niemcy, że rozbudowa nowych linji umożliwi nowy dostęp do mórz Czarnego, Egejskiego i Śródziemnego i będzie groźną konkurencją dla handlu i tranzytu niemieckiego.

Radjostacje niemieckie uprawiają ostatniemi czasy aktywną agitację przeciwpolską. Radjostacja wrocławska urządziła demonstracyjny wieczór, poświęcony sprawom śląskim. Prezydent regencji wrocławskiej w swem przemówieniu starał się wykazać, że Śląsk, zarówno dolny jak i górny jest prowincją czysto germańską.

Lotnik polski kapitan Giewdowd został za przekroczenie granicy niemieckiej i naruszenie przepisów paszportowych skazany na 7 dni więzienia, mimo, iż śledztwo wykazało, że lądował z powodu braku paliwa, a więc działał w obronie własnego życia.



Zdzisław Dębicki, znakomity poeta i krytyk zmarł przedwcześnie na udar serca

LITWA

Prześladowanie katolicyzmu na Litwie trwa. Polacy poczęli wydawać nowe czasopismo polskie przeznaczone dla młodzieży wyższych klas p. t. „Wytrwaj". Sam tytuł pisma jest znamienny dla stosunków litewskich i świadczy o doli naszych braci na Litwie.

Pakt o nieagresji między Litwą i Sowietami został przedłużony. Litwinow w liście do Zauniusa dał wyraz swemu zadowoleniu z tego powodu.

Za wyjazd do Polski została ustalona kara grzywny do 2.000 litów z zamianą na areszt do 2 miesięcy.

FRANCJA

Prezydentem Francji został wybrany Doumer. Batalja wyborcza rozgrywała się pomiędzy nim, a Briandem. Po pierwszem głosowaniu, w którem Doumer uzyskał większość głosów, Briand wycofał się. Briand podał się do dymisji na stanowisku ministra spraw zagranicznych, jednak ulegając prośbom swych przyjaciół politycznych rezygnację cofnął.

HISZPANJA

Bezkrwawa początkowo rewolucja w Hiszpanji utraciła swój sielankowy charakter. Dwa skrajne elementy monarchiści i komuniści rozpalili w kraju rewoltę, do tego stopnia, że rząd republikański zmuszony był do wprowadzenia stanu oblężenia. Socjalistyczne związki zawodowe dokładają wszelkich starań, aby przeprowadzić radykalną linję graniczną między robotnikami socjalistycznymi i komunistycznymi.

Jednocześnie rozpoczęła się w Hiszpanji wojna religijna. Splądrowano liczne kościoły i klasztory paląc je następnie i burząc. Minister Spraw Zagranicznych oświadczył w Genewie, że ruch antyreligijny nie jest skierowany przeciwko duchowieństwu, lecz przeciwko własności kościelnej.

Nuncjusz papieski w Madrycie złożył z polecenia stolicy apostolskiej energiczny protest, przeciw dokonywanym przez sfanatyzowany tłum aktom gwałtu, bezczeszczeniu i paleniu świątyń. Stolica Apostolska zwraca uwagę rządu republikańskiego na niedotrzymanie obietnic zapewnienia kościołowi i jego przedstawicielom bezpieczeństwa.

Jenerał Berenguer, były premjer hiszpański, aresztowany ponownie przez rząd republikański, został decyzją sądu najwyższego zwolniony.

RZYM I WATYKAN

W Rzymie doszło do demonstracji przeciwko kierownikom akcji katolickiej. Studenci palili publicznie oficjalny organ Watykanu „Observatore Romano", oraz zaatakowali kamieniami seminarjum w pobliżu placu Apolinarego, rozbijając szyby. Policja i wojsko położyły kres ekscesom. Powodem zajść była polemika, jaką od dłuższego czasu prowadzą pisma faszystowskie z „Observatore Romano" na

temat działalności akcji katolickiej, z rzekomo antyfaszystowskim programem politycznym.

Na prywatnej audjencji udzielonej pielgrzymce polskiej z prymasem Hlondem na czele, Ojciec św. mówił o wielkiem posłannictwie Polski i ostrzegał przed niebezpieczeństwem bolszewickiem.

Organ Watykanu „Observatore Romano" wypowiada się za bojkotem gospodarczym Sowietów. W jednym z artykułów zanotował z uznaniem wiadomość, że kanadyjska rada ministrów odrzuciła propozycję bolszewicką w sprawie zamówienia maszyn rolniczych za 10 miljonów dolarów i jednocześnie zabroniła przywozu towarów sowieckich. Stanowisko to jest tem bardziej znamienne, że prasa faszystowska entuzjazmuje się włosko-sowiecką umową handlową.

Rewolucja na Maderze zakończyła się. Na skutek bombardowania wyspy przez krążownik portugalski „Vasco de Gama", podczas którego kilku mieszkańców odniosło rany, powstańcy poddali się. Nikt z cudzoziemców na Maderze nie ucierpiał. *Esbe*



Wnętrze chaty kaszubskiej na Wystawie Ligi Morskiej i Kolonialnej w Warszawie

Fot. J. Ryś

NOWY GMACH DYREKCJI LASÓW PAŃSTWOWYCH W TORUNIU

Dyrekcja Lasów Państwowych w Toruniu od czasu jej powstania, t. j. od 1920 r. do niedawna mieściła się w jednej części pierwszego piętra Pomorskiego Urzędu Wojewódzkiego. Pomieszczenie było zbyt szczupłe, co stwarzało dla urzędników ciężkie i niehigjeniczne warunki pracy.

W r. 1927 z inicjatywy i za staraniem czynników miarodajnych powołano do życia Komitet budowy gmachu Dyrekcji oraz rozpisano konkurs na projekt gmachu. Z pośród nadesłanych prac konkursowych wyróżniono pracę arch. Ulatowskiego z Torunia, według projektu którego też wykonano budowę, kosztem około 840.000 zł. Gmach, o kubaturze 16.350 m^3 jest dwupiętrowy. W suterenach mieszczą się poza mieszkaniami dla woźnych, składnica materjałowa i archiwum. Parter zajmuje Wydział Finansowy, Kancelarja i Registratura. Na pierwszem piętrze mieszczą się gabinety Dyrektora, Wicedyrektora oraz poczekalnie, Wydziały: Gospodarczy, Handlowy i Osobowo-Organizacyjny, aula, sala posiedzeń i muzeum przyrodnicze. Drugie piętro zajmują Inspektorowie oraz Wydziały Budownictwa i Komunikacji, Meljoracji i Urządzenia Lasów. W skrzydle bocznem mieszczą się mieszkania Wicedyrektora oraz 2 inspektorów.

Gmach zbudowany jest w stylu modernistycznym. Wejście zdobią 2 niedźwiedzie, dłuta art. rzeźbiarza Zellka, oraz godło Państwa Polskiego, stylizowane w X-tkę dla upamiętnienia 10 ciolecia niepodległości Państwa, w której to rocznicy oddano gmach do użytku.



Nowy gmach Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu według projektu arch. Ulatowskiego.

25-LETNIA ROCZNICA ZAMKNIĘCIA SZKOŁY GOSPODARSTWA LEŚNEGO WE LWOWIE

Zamieszczamy poniżej ciekawy list p. Jerzego Slamy, który niewątpliwie zainteresuje naszych Czytelników i wzbudzi miły odźwięk w sercach starszych leśników.

Szanowna Redakcjo!

W maju b. r. przypada 25-letnia rocznica od pewnej chwili przełomowej naszego dorobku na polu leśnictwa. Pragnąłbym, aby wspomnienia choć na chwil kilka odżyły w pamięci.

Były naówczas czasy walki o dobro nauki leśnej, gdy jedyną dla nas wtedy uczelnią była Wyższa Szkoła Gospodarstwa Lasowego we Lwowie. Nie będę tu wyłuszczał przyczyn, które spowodowały katastrofę, skutkiem czego w dniu 6-go



Grupa słuchaczy Szkoły Lasowej we Lwowie, którą zamknięto w dn. 6 maja 1906 r., zmuszając jej uczniów do wyjazdu zagranicę celem kontynuowania studjów.

maja 1906 r. zaszedł fakt ogromnej doniosłości w dziejach naszego kulturalnego dorobku, fakt smutny i ubolewania godny, a mianowicie zamknięcie szkoły lasowej, szkoły polskiej, jedynej wówczas na całym obszarze ziem naszych.

Może to dzisiejsze echo z przed 25 laty nie minie, jak w owym czasie cała ta sprawa, określona w wydanym liście otwartym w maju 1906 roku do wszystkich leśników i społeczeństwa na 22 stronach druku, gdzie między wierszami powiedziano, że „skórki pomarańczowe wywołały w tym czasie o wiele żywsze zainteresowanie naszych dziennikarzy i patrjotów, aniżeli zamknięcie zakładu naukowego istniejącego od lat trzydziestu kilku".

Zdjęcia załączone z mego albumu niech przypomną Szan. Kolegom te nasze dzieje „z dni minionej młodości" dziś, gdy ciałem i duszą żyjemy już razem w Wolnej a Niepodległej Ojczyźnie.

Kończąc, pozwolę sobie przy tej sposobności przesłać wszystkim Kolegom jaknajserdeczniejsze pozdrowienia hasłem „Darz Bór"!

Jerzy Slama

POMNIK MARSZAŁKA W BIAŁOWIEŻY

Z inicjatywy p. Stefana Modzelewskiego, dyr. L. P. w Białowieży, zawiązał się komitet budowy pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego. Dzięki energji inicjatora, a zarazem prezesa komitetu p. S. Modzelewskiego, prace przy budowie pomnika są obecnie w pełnym toku i odsłonięcia artystycznego dzieła spodziewać się należy w miesiącach letnich b. r. Pomnik stanie we wsi Stoczek, na placu przy wjeździe do parku pałacowego. Projektodawcą jego jest mieszkaniec Białowieży, Jan Komorowski.

A. Ż.

RZECZY CIEKAWE

CZY WIECIE ŻE...

...20-letni syn wszechwładnego dyktatora Rosji, Stalina, bez wiedzy ojca ożenił się z pewną krawcową i za karę zesłany został na Kaukaz.

...w czasie prób nowej sztuki w nowojorskim teatrze murzyńskim zmarło nagle dwóch aktorów, którzy kolejno powierzone mieli sobie role zbrodniarza, ginącego na krześle elektrycznem. Podobna rola ta wywarła tak wstrząsające wrażenia na obydwu aktorach, że zmarli wskutek silnego wstrząsu nerwowego.



Słuchacze Szkoły Lasowej we Lwowie w maju 1906 r.

PRZEGLĄD PRASY

Ukazał się nr. 5 i 6 „L a s u P o l s k i e g o", zawierający m. in. artykuły prof. inż. dr. W. Wierzbickiego: „O właściwościach gospodarczo-ruchowych sieci komunikacyjnych leśnych" (dokończenie), inż. J. Frydrychiewicza: „Próba zbadania przyczepności trujących pyłów produkcji krajowej", S. Ruśkiewicza: „Rola prywatnej własności leśnej w Polsce Współczesnej". Zwraca tu również uwagę artykuł w dziale „Echa Zagranicy" p. t. „Sowiecki dumping drzewny". Ponadto wiadomości z „Przeglądu bibljograficznego" i „Z praktyki leśnej". — „P r z e g l ą d L e ś n i c z y", nr. 5, zamieszcza ciekawą pracę S. Studniarskiego: „O kryzysie lesnym", z innych artykułów wymienić należy inż. H. Schatzkera: „Kolejki linowe" i inż. L. Ossowskiego: „Walka z chrabąszczem i masową jego rójką na Pomorzu w b. r."— „A k t u a l n e w i a d o m o ś c i l e ś n i c z e" przynoszą w trzech nrach 9, 10, 11, uwagi J. Barczyńskiego o czasopismach leśnych. Żałować należy, iż autor atakuje czasopisma leśne i działalność Związku Leśników, nie znając dokładnie wyników tej działalności, ani też należycie doceniając rolę czasopism leśnych, które one spełniają. Jest to zagadnienie zbyt poważne, aby można je było rozwiązać jednem pociągnięciem pióra, a wszelkie niezbyt gruntownie przemyślane uwagi krytyczne przynoszą niewątpliwie szkodę rozwijającemu się pomyślnie piśmiennictwu leśnemu i samym leśnikom, których liczba pozwala i musi pozwolić na egzystencję znacznie większej ilości czasopism, niż to jest obecnie. — W „D r z e w i e P o l s k i m", nr. 5, znajdujemy m. in. artykuły P. Salmonowicza: „Stan zatrudnienia i zamówień w przemyśle drzewnym", S. Potocznego: „Normy posadzki parkietowej, a rzeczywistość", M. J.: „Światowe znaczenie drewna świerkowego i próby zastąpienia w przemyśle papierniczym topolą". Pozatem dr. W. Babiński dzieli się z Czytelnikami wiadomościami o pracach Międzynarodowego Instytutu Rolniczego w Rzymie z dziedziny leśnictwa, a P. Rosenmark omawia program Międzynarodowego Kongresu Drzewnego i Leśnego, który odbędzie się w Paryżu w dn. 1 — 15 lipca b. r. — W „G a z e c i e R o l n i c z e j" nr. 14, J. Tylman podaje spostrzeżenia na temat mechanicznego korowania wikliny. — „Z a g r o d a W z o r o w a", nr. 20, drukuje wskazówki inż. W. Kaweckiego o wiosennych pracach w kulturach leśnych i podaje plan przyszłej Wystawy Rolniczej i Regjonalnej z udziałem leśnictwa i łowiectwa w Tarnopolu. W „K ł o s a c h", nr. 19 czytamy artykuł K. Grigorjewa o wynikach zalesiania pól ornych sosną. Podobnie jak L. Ossowski przedstawia A. Krasuski w „R o l n i k u", nr. 17, metody obecnej walki z chrabąszczem majowym, przyczem zajmuje się szeroko jego życiem i szkodliwą działalnością.

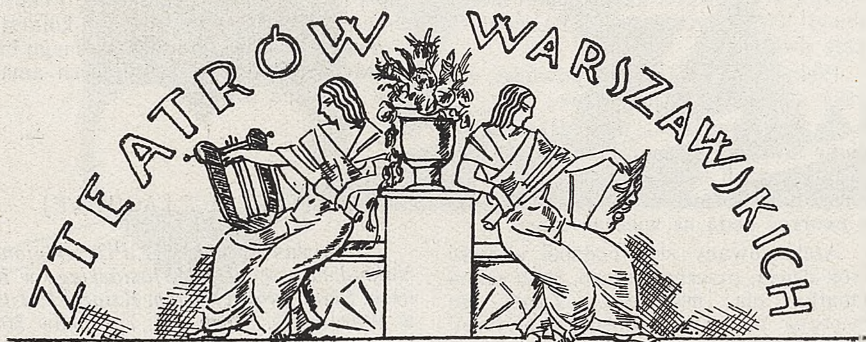
Memorjał Związku Zaw. Leśników do P. Ministra Rolnictwa (vide „Echa Leśne" nr. 5, str. 22) wzbudził odźwięk i zainteresowanie w całej prasie nie tylko leśniej ale i codziennej, krajowej: „Rzeczpospolita", 2.III; „Rolnik", 26.IV; „Kurjer Warszawski", 23.IV; „Rynek Drzewny", nr. 27; „Wiadomości Związkowe", nr. 1 i 2; „Gazeta Rolnicza" nr. 17; „Słowo Polskie" 13.IV; „Słowo", nr. 105; „Przegląd leśniczy', nr. 5; „Drzewo Polskie", nr. 5.

Odczyt prof. W. Jedlińskiego p. t. „Zagadnienie opłacalności i jej oceny w produkcji leśnej", urządzony staraniem Komisji Naukowej Związku Zawodowego Leśników w dn. 24 w sali T-wa Krajoznawczego w Warszawie zgromadził wielką ilość słuchaczy i odbił się głośnem echem w prasie. Aktualnym zagadnieniom poruszonym przez prelegenta poświęciły artykuły: „Rynek Drzewny", nr. 31; „Gazeta Polska", nr. 118; „Polska Zbrojna", nr. 115; „Gazeta Warszawska", dn. 9.V; „Gazeta Rolnicza", nr. 19; „Rolnik", nr. 20;



Fot. St. Łuniewski

Pomnik Marszałka J. Piłsudskiego w Białowieży według projektu J. Komorowskiego.



TEATR ATENEUM

„Europa" dramat Jerzego Brauna, reżyserja Z. Chmielewskiego.

Czandra, młody uczeń lamów, opuszcza Indje i przyjeżdża do Europy. Już podczas podróży na okręcie, wpada w sidła szantażystów, zastawione przez jakąś uroczą poetkę i szelmę dziennikarza. Dobrana ta para, korzystając z naiwności bogobojnego młodzieńca robi z niego mistrza tajemnic buddaizmu, prelegenta, cudotwórcę, a od ludzi, którzy się dali na ten kawał złapać, ściąga pieniądze. Niezły interes, ale Czandra przyjechał właściwie do Europy w innym celu. Szuka on mianowicie Boga wśród ludzi czynu i postępowej wiedzy. Zdaje mu się, że go Europa w miłości bliźniego pogłębi, ulepszy, nauczy działania i wykorzysta jego zapał tylko dla wzniosłej idei doskonalenia duszy. Tymczasem spotyka go rozczarowanie, poznaje środowisko złodziei w smokingach i rękawiczkach, kłamstwo, obłudę i zgniliznę ducha. Rzuca tę prawdę w oczy bankietującym na jego cześć geszefciarzom, cywilizatorom ludzkości. Jakie zakończenie? — Nagle wybucha wojna. Czandra ginie w okopach z ręki Człowieka, któremu w sztuce tej nigdy nie pozwolił przyjść do słowa, a ginie dlatego, że namawia żołnierzy aby porzucili broń i wrócili do domów, do żon i dzieci.

Przewija się przez dramat jakaś porwana nić filozoficzna, wiązana z zagadnień religijnych, społecznych, moralnych. Z gruntu rzeczy kompilatorskich, z całości niedomówionych scen wyrasta jednak myśl wielka—szukania Boga. To się nieda zaprzeczyć, ta myśl i dziś nie przestaje zajmować zepsutej współczesności nawet o przenicowanych cynicznie poglądach.

Jerzemu Braunowi chodziło zapewne jeszcze o jaskrawe przeciwstawienie kultury Indyj Europie, lecz to mu się nie bardzo udało. Czy w Europie są tylko szantażyści i głupcy, jak to przedstawił autor, za wyjątkiem jednej postaci, Człowieka, symbolu obowiązku? Chyba nie. Pozatem ideologja dramatu, wisi, jakby w próżni. Nie wiadomo o co właściwie naprawdę chodzi. Gdy Czandra na froncie rzuca hasła pacyfistyczne, — widzowie klaszczą. Tak samo klaszczą gdy go potem zabija oficer za niesubordynację, ów Człowiek, symbolizujący honor i obowiązek.

Utwór w założeniu pojęty niewątpliwie pięknie i szlachetnie mógłby wywrzeć pożyteczniejsze wrażenie, gdyby jednak autor przedtem zechciał nad nim zastanowić się w chwilach jego opracowania piórem. Tymczasem dał sztukę bez rąk i całej głowy. Patrzyło się z pewną złością na potok łatwych słów, wydętych patosem, a nie popartych akcją, na obrazy z kina, nie z teatru, który ma przecież inny zakres działania od fotomontażu.

Inna sprawa, — prasa warszawska, ta z miejsca rzuciła się na młodego autora z kubłem zimnej wody, szydząc sobie dowoli z widowiska. Niewiadomo, czy to dlatego, że przywykła do sztuczydeł trzy razy głupszych od przysłowiowego buta, do erotomanji na scenie, do kanap i sypialni, czy dlatego, że wogóle nie znosi tematów poważniejszych. Debiut J. Brauna nie można nazwać chybionym chociażby dlatego, że utwór sięgnął myślą wyżej nad przeciętność, a autor chociaż jeszcze nie otrzaskany ze sceną wykazał w zasadzie śmiały talent. Nie wytrzymał jednak linji nowatorstwa. Inna to znowu sprawa, że za każdy początek trzeba płacić „frycowe", aby się nauczyć, jak lepiej postąpić w przyszłości.

Artyści „Ateneum" dołożyli wszelkich starań, aby zagrać najlepiej (poetka, Mazarekówna, dziennikarz, Łuszczewski). Sawan w roli Czandry nie był wcale świetny choć moja sąsiadka twierdziła, że jest nim zachwycona. Jaracz w roli Człowieka wydobył momenty plastyczne choć cała ta postać w dramacie nie mówi wiele i nie wszyscy mogliby powtórzyć o co jej właściwie chodzi. W zespole epizodycznych postaci, przewijających się przez salon, świetny typ współczesnej panieneczki wzruszającej się na sam dźwięk słowa „Indje!" odtworzyła z wdziękiem



niej więcej wiedzą podobni ludzie o buddaizmie, nirwanie, fakirach, a nawet o Ghandhim lub Rabindranath Tagore. w epoce romantyzmu. Kochanka - Zula Atlas.

Reżyser włożył w sztukę dużo pracy, brak mu było tylko sceny obrotowej.

Janusz Stępowski

TEATR POLSKI

„Marjeta". Komedja muzyczna w 4-ch aktach Saszy Guitry'ego. Przekład M. Hemara. Muzyka Oskara Straussa. Reżyserowali: Borowski i Hemar.

Jak wygląda fakt historyczny po kilkudziesięciu latach w oświetleniu naocznych świadków? Dla tego końcowego efektu, niepozbawionego komizmu zmontowano trzy akty, z których pierwszy jest zupełnie zbyteczny, a bez drugiego doskonale obeszłoby się. Jak dalece skąpa jest treść, z której trzeba było zrobić sztukę na cały wieczór o tem świadczy najlepiej ten właśnie akt pierwszy, będący tylko urywkiem opery, granej w Amiens w roku 1848. W loży widzimy postać ks. Ludwika Napoleona z zapałem oklaskującego młodziutką artystkę, Marjetę Fleury. W akcie drugim książę przez pół godziny nakłania Marjettę, by zjadła wraz z nim kolację. Ostatecznie odkrywa swoje incognito; czar nazwiska Bonapartego robi swoje. W akcie trzecim widzimy pannę Fleury w willi pod Paryżem, już jako kochankę księcia-prezydenta. Historyczny moment, noc z 2-go na 3-go grudnia 1851 r. Napoleon w mieszkaniu przyjaciółki spotyka się ze swym stryjem, Hieronimem, eks-królem Westfalji. Rozmowa przedstawicieli rodu Bonapartych nie obfituje zresztą w rewelacyjne momenty, pozwala tylko księciu Ludwikowi zgrywać się à la Napoleon Wielki. Po siedemdziesięciu siedmiu latach siwiuteńka Marjeta opowiada o tych chwilach wysłannikowi jakiegoś dziennika. Nic dziwnego, że staruszce już wiele rzeczy się poplątało, a kiedy chce nawet poprawić zrobioną pomyłkę, protestuje przeciw temu dziennikarz, któremu zależy na jak najbardziej sensacyjnych wiadomościach.

Byłby z tego doskonały sketch w dwu odsłonach. Ponoć w Wiedniu grano „Marjetę" jako operetkę. Wtenczas łatwiej wysłuchać operowego wstępu i piosenki, którą Modzelewska rozpoczyna trzeci akt. Nawiasem mówiąc możnaby się po Hemarze spodziewać staranniejszego tekstu tej piosenki.

Możliwe, że dla francuskich widzów sztuka posiada jeszcze inne walory n. p. z lekką ironją traktowaną postać przyszłego cesarza, jeśli u nas będzie miało powodzenie to przypisać je należy wypróbowanemu trickowi teatru w teatrze no i Modzelewskiej.

S. Essmanowski.

TEATR „MORSKIE OKO"

Podobnie jak w poprzedniej rewji tak i tym razem autorowie starali się, choć już nie tak konsekwentnie, połączyć szereg obrazów wspólną nicią. *Miljon Złotych!* Tą luźną fastrygą stała się historja pereł skradzionych Karlińskiej przez Bo. do. W roli detektywa ukazał się Lopek-Krukowski. Lecz Bodo, mistrz charaktery-

zacji, przeniepoznany pod samym nosem następcy Pinkertona. Bodo potrafi nietylko uciekać w przestrzeni, ale i w czasie. Przed argusowem okiem Lopka czmychnął aż sto lat wstecz, by nam pokazać, jak kobiety dręczyły kochanków w epoce romantyzmu. Kochanka - Zula w pantalonach do połowy łydek i z tiurniurą była rozkoszna.

Pozatem mamy w rewji jeszcze kilka obrazów niezwiązanych z powyższemi kryminalnemi perypetjami. Na szczególną uwagę zasługują wśród innych: niesamowite wizje „Meduzy", „Galera Niewolnic" i sketche z pełną werwy Zulą. Conferencierkę prowadził niezrównany Krukowski, sekundowany dzielnie przez Boda i Waltera.

S. E.



F. Ossendowski: „Pod polską banderą", powieść. Wydawnictwo Książnica Atlas;

Szczupłą dotąd literaturę powieściową o morskich tradycjach wzbogacił utwór dla młodzieży znakomitego pisarza Ossendowskiego. Autor nawiązał do czasów Zygmunta III eskapady kaperskie nieustraszonego zagończyka morskiego imć pana Haraburdy, w którym ukazuje typ szlachcica z Inflant, jednego z tych nielicznych, którzy umieli cenić sprawy morskie dla Polski i rozumieli naówczas niebezpieczeństwo szweckie na wybrzeżu. Poświęca on dla bandery polskiej życie — jest pracownikiem dzieła armady wojennej, i poniekąd wychowawcą młodego pokolenia żeglarzy, których obrazu możnaby się doszukać w wiernym jego kompanie Kubali, jak dziś w zastępie „wilków morskich" na statkach „Żeglugi Polskiej". Podnieść należy tę zasługę autora, że przypomniał dzieje polskiego morza w chwili gdy dziś współczesne ręce i głowy zbudowały Gdynię i polską flotę, a serca w tej dobie aktualnej szukają skrzętnie w kronikach historycznych pomników, jak hetman Koniecpolski, Arendt Dickmann, Witt i Wejher, aby połączyć węzłem silniejszym przeszłość z przyszłością. To prawda, że dziś wiemy, co znaczy „okno na świat" i jakim oddechem dla organizmu państwowego jest morze, szlak handlowy docierający do wszystkich ziem na globie. I .to prawda, że kiedyś Polacy, rządzący nawą państwową nie znajdywali dużego zrozumienia dla morza w głębi rolniczego kraju. Lecz i wtedy byli niewątpliwie ludzie tacy, jak imć pan Haraburda z legendy Ossendowskiego. Tym należy się wdzięczna pamięć i wieniec czci gdyż w warunkach trudnych dla ich pracy niedocenionej, w zupełnem porzuceniu przez ówczesnych, w zdaniu się wyłącznie na własne siły dokonali choćby zwycięstwa pod Oliwą. Ci ludzie, jak legendarny imć pan Haraburda i inni nieznani, a nieliczni, wcześniej od nas ukochali morze i ubiegli nas samych w pracy dla niego — o całe dwa wieki.

Piękne jest zakończenie powieści, rycerska spowiedź, — proroctwo:

— Słysz morze! — mówi Haraburda, całując siwy piasek morski. — Myśli pokoleń lechickich będą ku tobie leciały, aż dolecą, gniazdo swe tu uwiją i nowe życie tworzyć będą na wieczne czasy.

Archaizowany styl podnosi wartość i urok dzieła, przeznaczonego, jako cenna pamiątka dla młodzieży. Zdobi go dźwięczna mowa staropolskich wyrażeń morskich. Świadczy ona, że jednak przecież morza polskiego nie odkryliśmy dzisiaj, że kiedyś dawno wychował Bałtyk wielu pracowników. Bądźmy dziś ich dziećmi — w czynach.

J. St.

Szpotański Stanisław: „Bez ziemi i bez nieba". Nakładem Księgarni św. Wojciecha. Cena 7,50 zł.

Powieść osnuta na tle czasów Szeli, sprawcy rzezi, znanej z historji Galicji pod zaborem austrajckim. Autor przedstawia Szelę, jako typ sprytnego i ambitnego wodza chłopstwa, bezwzględnego w okrucieństwie i zbrodniczych zamiarach. Styl żywy, powieść interesująca godna przeczytania.

Arct M.: „Mały słownik wyrazów obcych". Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. Cena 7 zł.

Nieodzownie potrzebny podręcznik dla każdego, który pragnie poznać cytaty, zwroty i przysłowia obce, używane w potocznej mowie. Słownik jest b. pożyteczny, zawiera 31 tysięcy wyrazów, a niska jego cena udostępnia jego nabycie jaknajszerszym rzeszom publiczności.

Ostrowski Stefan: „Z piersi myśliwego". Przemyśl, nakładem autora. Cena 2.25 zł.

Zbiór liryk i legend myśliwskich, napisanych z sentymentem pod wpływem niewątpliwego natchnienia, poety - łowcy. Książeczka nie zawiera rewelacyjnych myśli, wartością jej jest właśnie bezpretensjonalność i szczerość prosta z jaką opisuje piękno matki - natury i nastroje myśliwskie.

W. Lipiński: „Wśród lwowskich orląt". Wyd. Instyt. Naukowo-Wyd. Warszawa. Cena 3 zł. 50 gr.

Jest to rodzaj pamiętnika z czasów obrony Lwowa w 1918/19 r. Autor, znany żołnierz - pisarz, przedstawia swe bezpośrednie wrażenia na linji bojów, piórem żywem i barwnemi obrazami. Niewątpliwie pamiętnik ten wzbudzi prawdziwe zainteresowanie Czytelnika, a dla samej literatury Lwowa stanowi wartościowy przyczynek historyczny z pierwszego źródła podany.

Gen. Ślazki E.: „Zasady zaprawy i sportowej jazdy konnej". Bibljoteczka Sportowa, Nr. 17. Wyd. Instyt. Wojsk. Nauk. Warszawa. Cena 1,80 zł.

Przygotowanie konia do wyczynów sportowych, racjonalna jego hodowla, próbowanie go na torze, zaprawa dwulatków i oddziałów oraz ogólny szkic jazdy konnej.

F. Szymczyk: „Kolarstwo". Bibljoteczka Sportowa, nr. 18. Wyd. Instyt. Wojsk. Nauk. Warszawa. Cena 2 zł.

Praca z zakresu kolarstwa o charakterze podręcznikowym. Historja kolarstwa torowego, szosowego i turystycznego brak zasady nauki dla początkujących amatorów jazdy na rowerze.

js.

Z LITERTURY FACHOWEJ

Stanisław Sowiński: „Płyty klejone". Nakładem księgarni M. Jasińskiego w Kaliszu. Skład główny: Dom Książki Polskiej w Warszawie. Stron 116, rysunków 50.

Wiadomości potrzebne dla każdego leśnika i przemysłowca drzewnego z dziedziny wyrobu dykt i płyt klejonych. Monografja spotkała się z uznaniem najpoważniejszych krytyków, m. in. podniósł jej znaczenie, w fachowej recenzji w „Lesie Polskim", inż. Adam Schwarz, profesor technologji mechanicznej drewna z S. G. G. W. w Warszawie.

Józef Paczoski: „Lasy Białowieży". Nakładem Państw. Rady Ochrony Przyrody; Poznań.

Jest to monumentalna monografja, plon ogromnej pracy, opisującej szczegółowo i obszernie świat roślinny Białowieży.

Rosse Edward: „Proletarjat łódzki w świetle badań demograficznych". Wyd. Instytutu Gospodarstwa Społecznego, Warszawa, str. 90.

Omówienie ruchu naturalnego ludności, żyjącej w centrum przemysłowem Polski z uwzględnieniem podziału wyznaniowego, płodności i umieralności w ubogich i zamożniejszych dzielnicach Łodzi.

Landau Władysław: „Poglądy włościan na sprawę niepodzielności gospodarstw wiejskich". Wyd. Instyt. Gosp. Społecznego w Warszawie, str. 92.

Opracowanie ankiety, przeprowadzonej przez Centralny Związek Kółek Rolniczych, przedstawia opinje włościan w ważnej sprawie reform rolnych, tak żywo omawianych w ostatnich czasach.

„Wykresy stanu i rozwoju gospodarki leśnej w Polsce w latach 1919 — 1928". Wydawnictwo Ministerstwa Rolnictwa.

Materjał, wystawiony w pawilonie leśnym przez Ministerstwo Rolnictwa na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poz naniu, a więc szereg map i wykresów, charakteryzujących znaczenie, stan i rozwój polskiej produkcji leśnej, posłużył do opracowania tego wydawnictwa, które niewątpliwie zajmie wielu naszych leśników.

„Kultura wsi". Wydawnictwo Minist. Wyznań Rel. i Ośw. Publiczn. Skład główny: Książnica Atlas, w Warszawie.

Biuletyn konferencji oświatowej, poświęconej zagadnieniu kultury wiejskiej.

Kołodziejczyk J.: „Botanika seminarjów nauczycielskich i szkół zawodowych". Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. Cena w brosz. 9 zł.

Książka obejmuje całokształt wiadomości o roślinach i zawiera doświadczenia naukowe, przystosowane do pracowni szkolnych, zawodowych i słuchaczów wydziału przyrodniczego na wyższych uczelniach.

js.

LEONARD CHOCIŁOWSKI



Ilustrował St. Glewiński

Karnawał w pełni. Bale, reduty, tombole. W dzień kłopoty, praca lub beznadziejna nuda, urozmaicana zajmującą lekturą rubryki balowej: Dyrektorostwo A... Profesorostwo B... Mecenasostwo C... W nocy jarzące się światła, polonezy, tanga, slofoxy. Oślepła od blasków, ogłuszona muzyką, przyczaiła się smutna rzeczywistość. W roztańczonych salonach, przy stolikach z szampanem, królowało zwiewne: „jakoś to będzie”...

— Słuchajcie, moje kruszynki! Nigdy nie wydam was zamąż, — mówi spłakana pani Oleszyna. — Nie chcę, byście kiedyś cierpiały, jak wasza biedna matka.

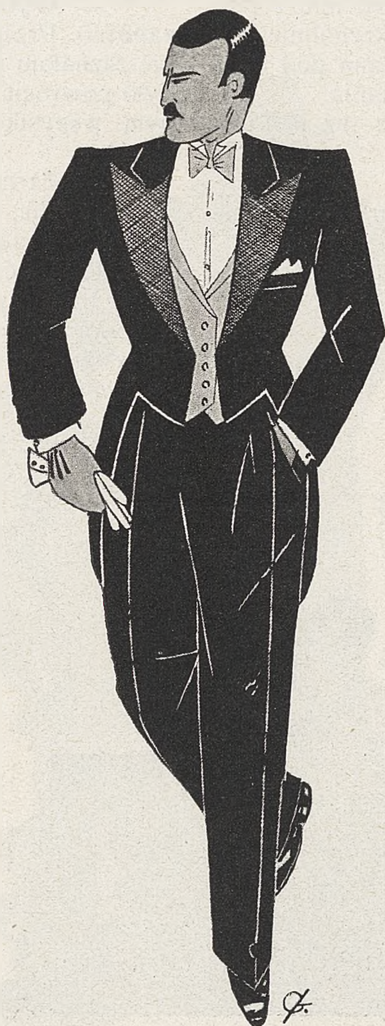
— Czemu, mamusiu?

— Tatuś niedobry... poszedł dzisiaj sam. Pierwszy raz po dziesięciu latach... Powiedział, żem kulą u nogi... i poszedł, wyfraczony, elegancki. Teraz tańczy pewnie z obcą mamusią, patrzy w oczy, uśmiecha się... Już przed rokiem napomknął, że pasjami lubi blondynki.

— Ach, jak to dobrze — zawołała ośmioletnia Haneczka — przecież pan doktór, ubierając się po wizycie, powiedział: „rozkoszna blondyna”! Wiedziałam, że to o mamusi.

— Mamusia ma roskosne, niebieskie ocy! — podchwyciła mała Basieńka.

Pani Oleszyna uśmiechnęła się mimowoli, ale po chwili już usta jej zadrgały w ledwie powstrzymywanym szlochu. Niesforne łzy bujnemi kroplami płynęły po rozognionych policzkach. Koronka na piersi zwilgotniała, słona plama na poduszce rosła zwolna nieforemnemi kręgami. Haneczka przytuliła się, głaszcząc matkę po włosach. Okrągłe ze zdziwienia oczęta Basieńki śledziły uważnie mokry rysunek na twarzy. Widząc zmartwienie ukochanej mateczki, dziewczynki za nic nie chciały odejść do swych łóżeczek. Niebawem i jedna i druga usnęły w nagich ramionach, zmorzone ciepłem matczynego ciała.



... *Szedł wyfraczony, elegancki*

Pani Oleszyna wciąż nie śpi. Patrzy przez łzy na jasne, powichrzone główki. Myśli tłoczą się, wirują.

— Dlaczego on mnie nie kocha? Wierna mu byłam, znosiłam biedę, niewygody. Nie jestem brzydka, podobam się mężczyznom. Przez dziesięć długich lat harowałam, troszczyłam się o wspólne szczęście, pieczołowicie dbałam o przytulne gniazdko rodzinne. — No tak... byłam trochę zazdrosna. Złościł się, że go męczę o stare baby. Ale te spojrzenia, te obiecujące uśmiechy, któremi go obdarzały, czyż to nie dość ważki powód? Kobiety dziś są tak zepsute i złe! Z całą perfidją zastawiają zdradzieckie sieci, a mężczyzna ani się spostrzega, kiedy w nie wpada. Zda się taki mądry, rozważny, a w gruncie rzeczy jest wobec kobiety tylko dużem dzieckiem. Jakeż mogłabym pozwolić, aby Zdzich poszedł gdzieś sam, bez mojej opieki?

Rozmyślania pani Oleszyny przerwał nagle minorowy dźwięk zegara, dolatujący z jadalnego pokoju. Uniosła się nieco, aby lepiej słyszeć i liczyła. Wybiła północ. Echo ostatniego uderzenia długo wisiało w pustce przyległego salonu, zanim przedostało się do sypialni i zamarło u wezgłowia.

Myśli zakotłowały znowu:

— Stał się teraz jakiś nierówny, nerwowy. Ciągle czyta i dziwnie się irytuje, kiedy mu przerywam. Mam przecież mu tyle do powiedzenia. Nie chce pójść na dancing, krzywi się, gdy sproszę gości. Myśli tylko o sobie, o swoim spokoju. Wie, że umieram z nudów, a nie dba o to zupełnie. Śmieje się na samą myśl, że mogę go zdradzić. O, kochałby mnie zapewne inaczej, gdybym była taką, jak te wszystkie...

Teraz oto omdlewa może w ramionach jednej z tych nowoczesnych damulek: powłóczyste spojrzenie, ciało po pas obnażone, w sercu chciwość, w duszy chęć użycia i próżność. Drwi z sakramentu małżeństwa, odciąga ojców od dzieci, kusi jak szatan. Ohyda...

Długo jeszcze zmagała się tak z myślami zdenerwowana pani Zdzisławowa. Dochodziła piąta, kiedy znużona, usnęła snem czujnym, niespokojnym.

Tymczasem Olesza błądził po rozbawionych salonach reduty, nie wiedząc co z sobą począć. Wściekły był, a przykry osad sprzeczki małżeńskiej nie chciał ustąpić. Zdobył się na dzisiejszy krok, doprowadzony do ostateczności. Odezwały się w nim dziesięć lat uległości, niewolniczego posłuszeństwa kaprysom żony — dla świętego spokoju. Długo tłumił w sobie postanowienie, aż dzisiaj nie wytrzymał. Ubierał się w milczeniu, ostentacyjnie. I właśnie w chwili, kiedy klął w duchu, porając się z upartym kołnierzykiem, padło fatalne, od lat znienawidzone, pytanie:

— Co to, Zdzisiu, chyba sam nie pójdziesz?!

Wybuchnął jak furjat. Jednem tchem wyrzucił z siebie wszystko. Zanim zdumiona żona ochłonęła z wrażenia, wybiegł bez pożegnania.

Na reducie nie mógł tańczyć. Obojętnie wymijał rozkrzyczane, natrętne maski. Zbywał oprysliwie śmiałe zaczepki. Przystojny, wysmukły, przeciskał się przez tłum, zmierzając ku wyjściu.

Już na schodach dopadła go zamaskowana osóbka:

— Panie Zdzisławie, a dokąd to? — zawołała. — Chodźmy, grają Straussa. Omal mi się pan nie wymknął. Zmienił się pan bardzo, zmężniał, spoważniał. Tylko poco ten mars na czole?

— Kto pani jest? Taki dziwnie znajomy głos... Zaraz, zaraz...

— No, no, niech pan pomyśli, przypomni...

Olesza spojrzał uważnie. Stała przed nim z płochym uśmiechem na ustach, w bogatej krynolinie, zagadkowa, ponętna. Zielona maska, związana pod białą peruką, zniekształcała twarz do nie poznania.

— Dziesięć lat zaledwie minęło, a już pan zapomniał...

— Miro!

— Zdzich! — Obserwuję cię od paru godzin, nie mogłam się zbliżyć. Czekałam, aż zaczniesz tańczyć.

— Chodźmy stąd prędzej, jeżeli możesz!

— O, jestem wolna, pożegnam się tylko. Ale dokąd pójdziemy?

— Wszystko jedno. Do restauracji, do naszej kawiarenki, dokąd zechcesz.

— Zapominasz, że o tej porze kawiarenka zamknięta, a w restauracjach niespokojnie, jak tutaj. Zawiozę cię do mego pied a terre.

W półgodziny później Olesza siedział na stosie poduszek w wykwintnym saloniku pani Miry. Z głową na kolanach młodej kobiety, słuchał jej melodyjnego głosu. Jak przed laty...

— Jadę do Wiednia — opowiadała pani Mira. — Za trzy dni koncertuję. Od czasu, kiedy cię widziałam poraz ostatni, pamiętasz... gdyś brał ślub — zwiedziłam wszystkie stolice Europy. No i stałam się sławną.

— A mąż?

— Rozwiodłam się. Psuł mi życie, nie ufał mi. Zresztą nie wierzę w szczęście małżeńskie. Chyba z tobą... Pamiętasz... białe noce, śnieg w parku, czysty, niepokalany. Albo latem... zieleń na moim balkonie. Wtuleni w gąszcz wina, snuliśmy plany, złote sny. Ty i ja... Wdole rozszemrane miasto, blaski, ogniki... W głębi czarna, gorąca noc. Za nami pokoik, abażur, pastelowe światło... Tyś zawsze mówił... O, jakżeś pięknie mówił! Do dziś noszę w sobie pieszczotę twego głosu. Bałam się wtedy uronić coś z tych słów, nabrzmiałych wizją szczęścia. Upajałeś mnie, marzyliśmy, jak dzieci...

Nie chciałam wyjść za ciebie, bo wiesz, jak kochałam się w sławie. Ale w konserwatorjum myślałam przez wszystkie godziny o tobie. Co wieczór ostatnie akordy były dla ciebie. Wiedziałam, że wchłaniasz je chciwie, wyczekując mnie pod oknami sali wykładowej. Szliśmy potem do naszej kawiarenki. Znali nas tam... Stary, poczciwy kelner, ten pan w zielonym krawacie i tyle innych stałych gości witało nas zawsze przyjaznym uśmiechem. Uważali nas za bliskich sobie. O, bardzo bliskich... Było nam z tem dobrze. Zapominaliśmy o wszystkiem, wychodziliśmy ostatni. Powiedz, czyż nie było nam dobrze?

— Zburzyłaś to wszystko, jak domek z kart. Rwałaś się do laurów poprzez wszystkie przeszkody. Ostatniej z nich pozbyłaś się na zimno, z wyrachowaniem. Doprowadziłaś mnie do ożenku i to z kim? — z serdeczną swoją przyjaciółką. Kochając ciebie, ożeniłem się, sam nie wiem jak i dlaczego. Zniknęłaś na dziesięć długich lat, a we mnie pozostał żal...

— Wybacz, kochany... Zrozumiałam swój błąd zapóźno. Przegrałam. Sława nuży mnie dziś, a miłości nie zaznałam więcej nigdy. Dałabym wiele, aby można było powrócić do dawnych dni. Co mówię, poświęciłabym wszystko za kilka choćby miesięcy szczęścia z tobą...

— Żartujesz, Miro...

— Nie, drogi. Nie przypuszczasz nawet ile cierpiałam, wyrzekając się ciebie dobrowolnie dla innej. Opętało mię coś wtedy z tą muzyką. A później umierałam z tęsknoty. Tkwiłeś we mnie jak cierń. Bolał mnie i sprawiał roskosz, żyłam wspomnieniami. Wiem wszystko o tobie, o twojem pożyciu. Postanowiłam zobaczyć cię za wszelką cenę. Ukochany... pojechałbyś ze mną na tydzień, na kilka dni? Znów bylibyśmy razem, pomyśl, radośni, dziecinni, jak dawniej. Miesiące popłyną nam, jak w bajce...

— Miesiące? Szalona jesteś, Miro! Mam obowiązki, żonę, dzieci...

— Wiem, ale masz także prawo do osobistego szczęścia. Męczysz się, jesteś niewolnikiem ustanowień ludzkich — ograniczonych i niemądrych. Dbasz o pozory, o formy, a dźwigasz jarzmo. Mężczyzna powinien mieć dość odwagi, aby je zrzucić w chwili, kiedy poczyna zanadto uwierać. Na ciebie przyszedł czas już dawno. Dziwiłam się, gdy opowiadano mi o tobie i o niej. Nie zniosłabym podobnego życia, ani godziny. Zresztą dlatego rozwiodłam się z mężem. *(D. c. n.)*



Wtuleni w gąszcz wina, snuliśmy plany, złote sny.

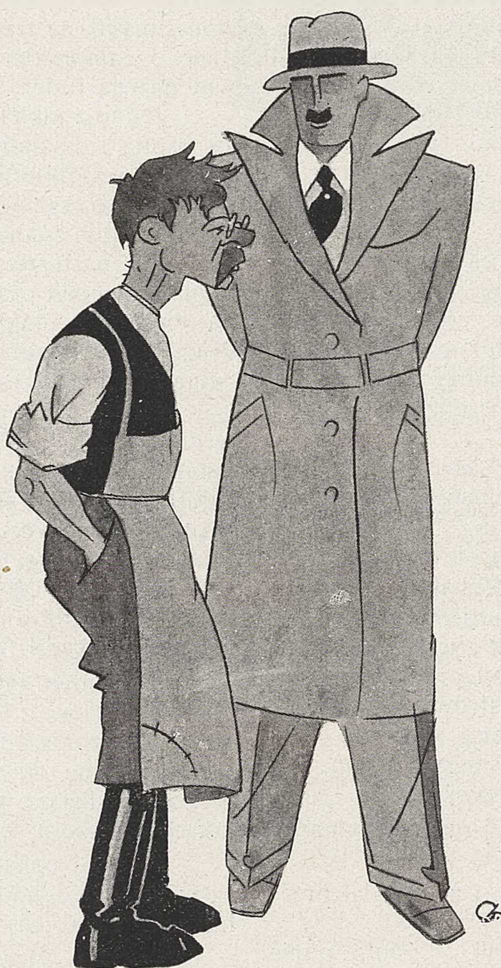
JERZY-MARJUSZ TAYLOR

HALABARDNIK Z WĄSKIEGO DUNAJU

W całej Rzeczypospolitej napewno niema miasta, mogącego iść w zawody z Warszawą pod względem ilości zapomnianych, mgłą baśni przesłoniętych lochów i podziemi. Mowa tu oczywiście o tej tylko części dawnego grodu książąt mazowieckich, która znana jest pod mianem Starego Miasta. Nazwa ta wprawdzie w pojęciach wielu obywateli stolicy ogranicza się jedynie do czterech szeregów dostojnych kamienic, łudząco podobnych do poczciwych kumoszek, które przystroiły się ni stąd ni zowąd w jaskrawo złociste szaty i do rynku, gdzie od czasu do czasu odbywa się jakaś niesłychanie malownicza uroczystość historyczna.

Nie jest to pojęcie ścisłe. Prawdziwe Stare Miasto sięga wszak znacznie dalej wszerz. Ba! Więcej nawet. Sięga wgłąb! Pod każdą bowiem z tych wąskich, a długich kamieniczek, gdzie sień wydaje się obcemu przybyszowi tunelem, dziedziniec zaś studnią, znajdziemy głębokie piwnice - lochy, pamiętające czasy pierwszych książąt mazowieckich, a może jeszcze dawniejsze. Lochy te — tak przynajmniej dawna wieść niesie — krętemi, sklepionemi kurytarzami ciągną się pod całą Starą Warszawą, przecinając się i łącząc wzajemnie. Niektóre z nich mają podobno swe wyloty tuż nad rzeką, a inne aż hen pod kościołem Najświętszej Panny.

Ale tego nikt nie wie dziś dokładnie. Któż bowiem i kiedy zbadał te podziemia? Taki śmiałek nie urodził się jeszcze. Tajemnice lochów Starej Warszawy znają tylko stali ich mieszkańcy — wielkie, nagie ślimaki, szukające żeru w próchnie butwiejących pod kościołami trumien, melancholijne nietoperze, żyjące gromadnie w owych piwnicach od czasów niepamiętnych, no i upiory.



— Chcę mieć ten stary śmietnik! — rzekł Amerykanin do majstra

Ho, ho! Upiory! Toż to jedno z największych osobliwości Starego Miasta. Pełno tu ich wszędzie. Każdy dozorca z ulicy Świętojańskiej, każdy sklepikarz z Piekarskiej czy też szewc z Krzywego Koła, może na wyrywki lub jednym tchem opowiedzieć dobry tuzin historyjek o duchach, co stale nawiedzają jego kamienicę. A gadki owe z krzywych i wąskich uliczek odwiecznej dzielnicy rozchodzą się potem po całej Warszawie. Ba! Przedostają się nawet na łamy dzienników pod postacią mrożących krew w żyłach straszliwych opowieści. Baśń o bazyliszku, albo zgrzytającym zębami w mrocznym zaułku kościotrupie olbrzymieje, przybiera na powadze i, odbywszy pochód zwycięski po stołecznym grodzie, wraca, skąd wyszła, do podziemi Starego Miasta.

Wraca lecz nie ginie. Po roku czy dwóch, niekiedy zaś może po upływie całego półwiecza, zależnie od wypadku czy mody. Tak! Bo nawet duchy podlegają modzie.

W czasach ostatnich naprzykład stał się nader modny i wzbudził wręcz szczególne zaciekawienie w szerokich kołach miłośników tajemnic zaświatowych halabardnik z Wąskiego Dunaju.

Ten również nie był tu obcy. Powrócił tylko do dawnego gniazda. Powrócił, gwoli właściwej wszystkim upiorom żądzy życia i grasował, jak niegdyś, na przestrzeni, ograniczonej z jednej strony węgłem kamienicy Pod Matką Boską, z drugiej zaś wylotem ulicy Rycerskiej. Pojawił się zawsze po północy, wzbudzając popłoch wśród zapóźnionych przechodniów, którym z niezadowolonym pomrukiem świecił w oczy staroświecką ręczną latarnią. Szedł, suwając nogami i podpierając się ciężką halabardą.

Grasował długo, zdarzyło się jednak wreszcie... Ale dosyć! Dajmy mu narazie spokój. Powoli!

Pewnego letniego poranku cichem bytowaniem ludu staromiejskiego wstrząsnęło pojawienie się Amerykanina, który obszedł wszystkie kamieniczki na Rybakach i jedną z nich, po gruntownem obejrzeniu, kupił. Tak, od ręki. Wywołał posesjonata-szewczynę na ulicę i w ciągu pięciu minut dobił targu.

— Chcę mieć ten stary śmietnik — wycedził przez zęby, ale w języku zrozumiałym, bo był przecież niby reemigrantem, a nie żadnym wywłoką. — Ileż majster zań żąda?

Majster zbaraniał.

— Niby za mój dom? — spytał.

Aż go olśniło. Próbował już wszakże, lecz nikt nie chciał kupić rudery. Teraz, zaskoczony nagłą propozycją, wymienił jakąś skromną sumę.

— Dam dwa razy tyle — oświadczył pogardliwie Amerykanin. — Ale warunek. Zaraz pójdziemy do rejenta, a po powrocie spakuje majster manatki i jazda na nowe mieszkanie.

Szewc poczuł, że długo namyślać się nie można. Nie było czego zresztą. Takiego kupca tylko trzymać, aby się czasem nie rozmyślił. Stojąca na progu domku szewcowa też mrugała znacząco, dając mężowi znaki, że musi się zgodzić. W godzinę później załatwiono formalności i zacny majster, wychodząc z kancelarji rejenta, z bijącem sercem macał swą kieszeń, wypchaną nowiutkiemi tysiączłotówkami. Szedł ochoczo. Gnębiła go tylko natrętna obecność Amerykanina. Zerkał na tego uciążliwego towarzysza podejrzliwie i niechętnie. Mało co. Taki warjat może wreszcie zrozumieć, że się oszukał i zażąda zwrotu pieniędzy. W obawie przed takim obrotem sprawy, szewc skręcał umyślnie w różne zaułki i przyśpieszał kroku. Nie udało się. Amerykanin sapał, bo miał już lata i tuszę dobrą, ale nie rozłączał się z szewcem. Razem tak zaszli na Rybaki.

Ale tutaj szewc poczuł, że jest na własnych śmieciach. Postanowił zatem pozbyć się przykrego kompana. Chciał mu powiedzieć otwarcie, po staromiejsku:

— Panie Amerykanin! Kupiłeś pan za drogie pieniądze walącą się ruderę. Nie namawiałem cię do tego, więc idź sobie do hotelu i czekaj póki się stąd nie wyprowadzę.

Wypadło jednak inaczej. To Amerykanin jemu kazał się wyprowadzić do hotelu, wcisnąwszy szewcowej dodatkowo pewną sumkę na ten cel. Przekupił babę. Ma się rozumieć. W tej chwili się zgodziła.

I zanim jeszcze zabłysnęły na Rybakach nieliczne latarnie, z przed małej walącej się kamieniczki odjechał wóz z szewckim sprzętem, który miał być złożony tymczasem na podwórzu wielkiego domu przy ulicy Miodowej, gdzie zapobiegliwa pani majstrowa zdążyła już zadatkować ładny sklep z lustrzanemi szybami. Ale szewc, rozstając się z dziwakiem-Amerykaninem, zapragnął jeszcze zaspokoić swą ciekawość.

— Co też pan będzie robił w tej ruderze? — spytał z niekłamanem politowaniem.

Amerykanin zmrużył jedno oko i zagwizdał przeciągle.

— Co będę robił? — powtórzył. — Złoto, panie szewc. Tak! Szczere złoto!

Zacny majster pokręcił głową w nagłem zdumieniu i wgramolił się pośpiesznie na sam szczyt naładowanego staremi gratami wozu. Teraz nie wątpił już, że ma przed sobą warjata. Od takich należy uciekać coprędzej. Porozumiewając się spojrzeniami z połowicą, zasiadł wygodnie na wytartej kanapie, której za fundament służyła komoda, i wtedy dopiero odetchnął. Nareszcie był bezpieczny.

— Jazda! — rozkazał takim tonem jakby woźnica był conajmniej kierowcą wytwornej limuzyny.

A kiedy dwa chabety ruszyły z kopyta, zadzierając wysoko ogony, uszczęśliwiony szewc nie wytrzymał i zwrócił się raz jeszcze do Amerykanina, co dał się nabrać tak rzetelnie.

— Nie zapomnij pan wprzódy wytruć w swym nowym pałacu szczury! — krzyknął, zanosząc się od śmiechu. — Jest ich tam dosyć! Potem dopiero będzie można robić złoto panie... Amerykanin!

Rada była zacna, dobrosąsiedzka. Ludzie, którzy ją słyszeli, śmiali się wprawdzie, lecz Amerykanin wziął widocznie szewcowskie słowa na rozum, bo już nazajutrz tak zaczął gospodarować w nowonabytym domu, że po całej ulicy rozlegał się szczęk i łomot. Sąsiedzi zpoczątku niewiele na to zwracali uwagi, po kilku dniach jednak najbliższych zdjął podziw, a w tydzień później wogóle na Starem Mieście mówiono tylko o Amerykaninie i jego kamienicy.

W ciasnych podwórkach dziwacznie wielkich domów, pomiędzy któremi od Rynku ku Rybakom biegną przecięte ostrzem ulicy Brzozowej wydeptane od wieków stopnie Kamiennych Schodków, na przyzbach ciasnych nor-izdebek, nigdy nie oglądających promieni słonecznych, aż trzęsło się od dziwów, jakie rozpowiadano o zamorskim przybyszu, co zaczął przebudowywać dawną ruderę szewcką.

Jedno z takich podwórek szczególnie interesowało się osobą i działalnością nowego kamienicznika. Miało po temu wszelkie prawa. Grało przecież oddawna rolę klubu towarzyskiego, bo tutaj właśnie mieszkały same godne osoby, znane w całej dzielnicy staromiejskiej.

Na parterze odwiecznej kamienicy mieściła się ogólnie ceniona pralnia, w suterenie od wczesnego ranka łoskotały magle równie renomowanego zakładu, drugie piętro zajmował pracowity ślusarz z liczną rodziną, a na poddaszu mieszkał student.

Ubogi był ten lokator najwyższego piętra niczem wróbel w zimie. Z litości żywili go potrosze wszyscy lokatorzy. Jednego dnia zjadł obiad u maglarki, a nazajutrz podejmowała go praczka. Nikt mu nie żałował. Wprost przeciwnie. Dawał każdy co mógł. Jakże? Student był przecież chlubą kamienicy. Uczył się na uniwersytecie. Wszyscy wiedzieli, że zczasem będzie profesorem, inżynierem, a może adwokatem. Któżby takiemu poskąpił łyżki strawy?

Studentem interesowali się wszyscy. Pytał o niego nawet szewc z Rybaków, często zachodząc na pogawędkę. Rozmowa toczyła się zazwyczaj przy zapadniętem w ziemię okienku maglarki, pod którem zasiadał wygodnie ślusarz w towarzystwie praczki. Zbierali się tak co wieczora, ale teraz nie mówili już o studencie.

— Moi państwo — zdumiewała się praczka. — Ja w głowę zachodzę, co ten Amerykanin kleci na Rybakach. Pałac chyba.

— Ba! Ma dólary — wzdychała ślusarzowa. — Choćby ich setki wydał, to dla takiego nic.

(D. c. n.)

KĄCIK ROZRYWKOWY

Pod kierownictwem Klubu Szaradzistów

SZARADA - HUMORESKA

Ułożył Tadeusz Wydmuch

Za rozwiązanie 4 punkty

Późno już było (czas tak szybko leci)
Gdy pan Piotr wyszedł dobrze podchmielony,
Wyszedł, i patrzy niezmiernie zdziwiony.
Czternasta-piąta w górze blado świeci,
I w twarz się jakoś arogancko śmieje,
A tu wiatr silny prosto w oczy wieje.

Siódmy — piętnasty tuż widać szeroki,
Lecz próżno szuka pan Piotr jakiejś łodzi,
Więc beznadziejnie wzrok dokoła wodzi
I z trudem stawia swe niepewne kroki.
Czas *dziesięć* domu wracać, lecz nie może,
A tam żoneczka martwi się nieboże.

Nadomiar złego, deszcz rzęsistą strugą
Począł go zlewać bez żadnej litości,
Więc mu wezbrało serce od żałości,
I począł płakać i rzewnie i długo.
A że mu nogi jak ołów ciążyły,
Latarnię ściskał wytężając siły.

Stoi i myśli: — Mój Boże, mój Boże,
Jak w *dwa — czternastym* rojno jest tam w barze,
Tam są wesołe, przyjacielskie twarze,
A ja tu moknę jako pies na dworze.
Litość nad sobą w sercu jego rośnie,
Więc *dziewięć — jeden* niby żubr żałośnie.

— *Drugie i czwarte—trzynaste* są głowy,
Co to mądrości przedziwne posiadły,
Ale niestety, wcale nie odgadły,
Że oto potop nastaje już nowy.
Tak sobie myśli, i gorycz w nim wzbiera,
że tak przedwcześnie i marnie umiera.

Trzyma oburącz cierpliwą latarnię
I łzy wylewa, a w głowie mu huczy.
Wtem głos usłyszał. — Czego to pan buczy,
Czego się kręcisz pan tutaj niezdarnie?
— Panie! — rzekł pan Piotr — do domu iść pora,
A tu wokoło stawy i jeziora.

— Jakie jeziora, gdzie tu stawy duże?
Trochę przesadzasz podchmielony panie!
To magistrackie zwyczajne sprzątanie
Ulic warszawskich, i stąd te kałuże.
Pierwsze i siódme, lub też zakrapiana,
Sprawiła, widzę, zamęt w głowie pana.

— Nie, pan się myli, *pierwsza siódma* przecie
W głowie nie mąci, lecz idzie na zdrowie.
Piję ją zawsze, niechaj żona powie,
A przecież chodzę wciąż zdrowy po świecie,
A waga moja coraz więcej wzrasta,
Patrz pan, jaka ma *tuzin-siedemnasta!*

— Ja sto pięćdziesiąt kilo, panie, ważę,
Mam lat pięćdziesiąt, nie brak mi rumieńców,
I osiemnastych-czternastych młodzieńców
Prześcignąć mogę i w pracy i w barze.
Jak *trzeci,* panie, co ciągnie dorożkę
Zdrowie mam silne i humoru troszkę.

— Dobrze, już dobrze — rzekł pan granatowy,
— Jeśli dobrodziej posiada złotówki,
Szesnaście-jeden już motor taksówki,
Jedź pan do domu, bo katar gotowy.
Jest niewłaściwe, pod latarnią w błocie
Siódme i ósme na deszczu i słocie.
— Do *mendel-sześć wspak oraz do drugiego*
Ja usiąść mogę — pan Piotr odpowiedział,
— Lecz kiedy będę w samochodzie siedział,
Mogę zatonąć pośród błota tego.
Razem z taksówką wśród murów Warszawy..
Na to policjant — Et, niema obawy!

— *Szesnasta oraz siedemnasta razem*
Z nią jedenasta — to miasto cierpliwe.
Może przenosić udręki straszliwe,
I wszystko puszcza dobrotliwie płazem,
A choć się czasem trochę dąsa, zżyma,
Mocna jest jednak i wszystko wytrzyma.

LABIRYNT

ul. „Wilk"

Zadanie pozakonkursowe

Obejść wszystkie klomby labiryntu, nie przechodząc 2 razy po tej samej ścieżce, tak żeby wszystkie litery, znajdujące się na klombach w kolejności drogi dały urywek wiersza Jana Kochanowskiego.

TREŚĆ

Redaktor: LEONARD CHOCIŁOWSKI **Wydawca:** ZWIĄZEK ZAWODOWY LEŚNIKÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

OGŁOSZENIE

W związku z nadchodzącym sezonem wycieczek do Puszczy Białowieskiej, Dyrekcja Lasów Państwowych w Białowieży podaje do wiadomości, że pałac w Białowieży służy dla celów reprezentacyjnych, wszelkie więc zapytania lub zgłoszenia pisemne względnie osobiste w sprawie odnajęcia pomieszczeń dla osób prywatnych nie mogą być uwzględniane.

DYREKCJA LASÓW PAŃSTWOWYCH W BIAŁOWIEŻY

WARUNKI PRENUMERATY

„ECH LEŚNYCH"

od 1 kwietnia 1930 r.

	Zwyczajnej zł. gr.	Ulgowej (dla czł. Zw. Leśników) zł. gr.
Kwartalnie	4.—	3.—
Półrocznie	7.50	5.50
Rocznie	14.—	10 50
Zagranicą kwartalnie .	6.50	5.50

cena numeru pojedyńczego **1 zł. 40 gr.**

Konto czekowe P. K. O. № 737.

Cena niniejszego numeru w Warszawie i na prowincji 1 zł 40 gr.
Żądać we wszystkich kioskach miejskich i kolejowych T-wa „Ruch".

ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 36 TEL. 230-75.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA", Warszawa, Sienna 15.